CENA 30 ZŁ

1947

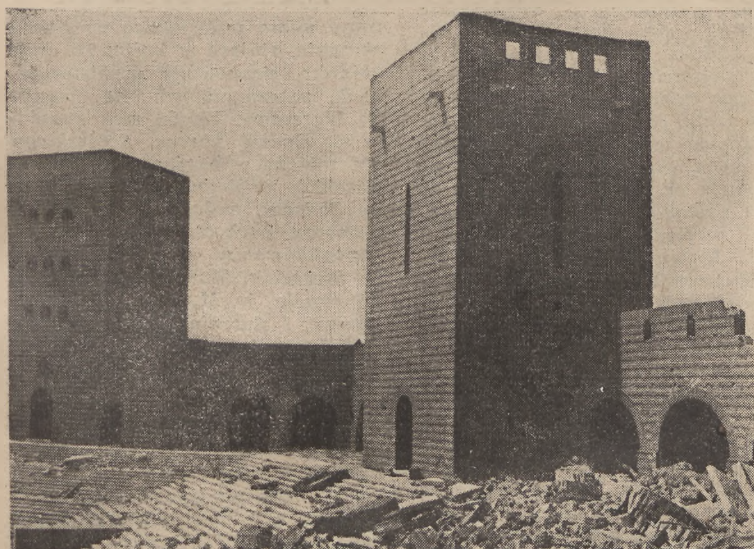
Numer świąteczny – 8 stron



Odra
tygodnik



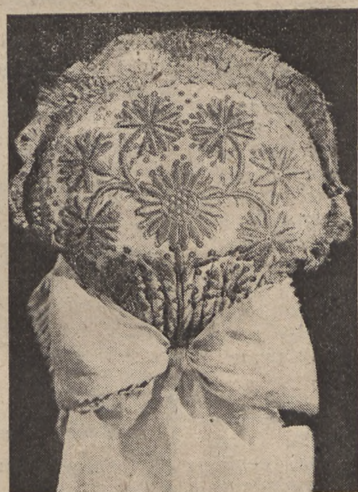
NUMER 51/52 (108/109) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 21 GRUDNIA 1947 ROKU ROK III





Rzeczywistość Ziem Odzyskanych jest złożona i różnorodna. Żywot nasz nie trwa tu od wczoraj a walka nasza o polskie oblicze tych ziem ma odległy rodowód z chwałą godną trudnych minionych wieków. W posiadanie Ziem Odzyskanych tak mocno zaangażowane zostały wszystkie nasze elementy narodowe, tak emocjonalne jak i rozumowe, że mowy być nie może o tym, by naród polski mógł z tych ziem kiedykolwiek zrezygnować. Umiemy je ocenić i potrafiliśmy przywrócić im ich dawny bujny żywot, zdeptany twardą stopą wojny. Zdajemy sobie sprawę ze złożoności procesów historycznych i współczesnego życia, zachodzących na tych ziemiach, wiemy, że krzyżowały się tu kultury polska i niemiecka, ale posiadamy także historyczną pewność, potwierdzającą nasze wyłączne niemal prawa do tych terenów. Nalot niemiecki, którego jedyną pamiątką są kruszejące pomniki jak np. mauzoleum Hindenburga w Olsztynku, pamiątka zdegenerowanego prusactwa, znikł, historia zaś odkrywa swoją polską głąb. Wzruszamy się drobnymi pamiątkami polskiego obyczaju i zwyczaju, przechowywanego tu od wieków jak ów barwny warmiński czepek. Cieszy nas historia stającego się dnia, a nawet, ufni życiu, z dumą pewną patrzymy na rojące się targowisko wrocławskie na placu Grunwaldzkim, gdzie jak wszędzie indziej w pracy łączą się grupy społeczne, poznają się ludzie, spotykają się na Ziemiach Odzyskanych. Umiemy ocenić również i te wszystkie znaki kultury, które nie pochodzą z naszej ręki, o ile tylko kształcą myśl i pieszczą serce a kościółek Wang w Bierutowicach jest tego wymownym przykładem. W krajobrazie jezior mazurskich, na placach targowych, w cieniu kościołów i wśród muzealnych gablot, u stóp próchniejących pomników niemieckiej niesławy doszukujemy się rytmu nowej rzeczywistości Ziem Odzyskanych, która jest rzeczywistością złożoną, pełną tradycji i bujnego rozkwitu, rzeczywistością polskiej pracy i polskiej historii.



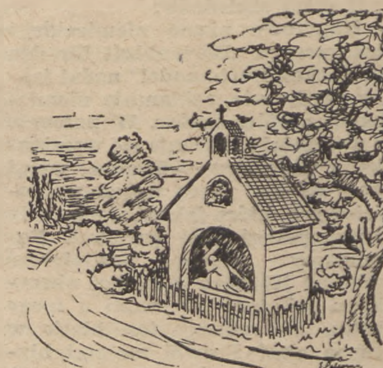




STANISŁAWA M. SAWICKA

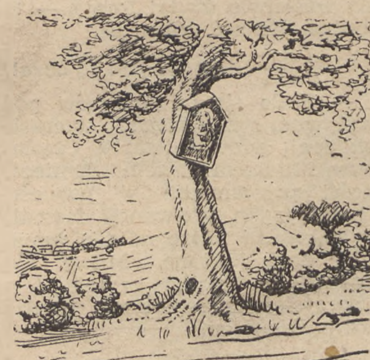
Ilustrował Józef Paleczny

Świątki



Zadomowiliśmy się już całkowicie na naszych starych ziemiach zachodnich. W bliskim nam krajobrazie pragniemy widzieć znajome przedmioty kultu. Jest to jednak w równej mierze problem społeczno-religijny i artystyczny. Stosunek artysty do zagadnienia jest prosty: wszystkie przedmioty kultu religijnego, który na Ziemiach Odzyskanych zadomowił się zaraz z pierwszymi gromadami osadników lub wytrwał w gromadzie ludności rodzimej pomimo prześladowań i szykan, muszą mieć spokojny artystyczny kształt, szlachetny umiar, który jest cechą prawdziwej sztuki.

W swej zaciekłości niszczenia wszystkiego co polskie, zacierania wszelkich śladów życia kulturalnego na siłą zagarniętych ziemiach dokonywali Niemcy na ziemi polskiej aktów gwałtu i bezprzykładnego, wandalskiego niszczenia wszelkich oznak kultury polskiej. Ze szczególną zaciętością tępiono na ziemiach włączonych do Rzeszy kult religijny, zajmując kościoły na magazyny, sale zabaw dla Hitler-Jugend, składy broni i materiałów wybuchowych itd., usuwając krzyże i rozbijając kapliczki przydrożne.



Te tak charakterystyczne dla wsi polskiej widome oznaki kultu, reprezentujące nieraz zabytki sztuki o nieprzeciętnej wartości artystycznej lub folklorystycznej — zmietli Niemcy dokładnie z powierzchni ziemi.

Ludność jednak miejscowa, która przetrwała szczęśliwie u siebie lub po ciężkim okresie okupacji wróciła do swych siedzib — zarówno jak osiedleńcy ze Wschodu, wrastający już w Ziemie Odzyskane — zgodnie ze swym obyczajem wskrzeszają wielowiekową tradycję. Dziś już znowu przy drogach i po wsiach Pomorza i Poznańskiego — zarówno jak i na Ziemiach Odzyskanych — stają krzyże i figury świętych (najczęściej Matki Boskiej).

Krzyże, jak krzyże — wyniosłą swą sylwetką i prostotą swego kształtu-symbolu mówią same za siebie; wykonane z drzewa, nie zawsze nawet mają rozpiętą figurę Chrystusa — nadają swemu otoczeniu piętno specyficznie polskiego krajobrazu.

Inaczej rzecz się ma z postaciami świętych. Figury te — stawiane zazwyczaj na skraju wsi lub przy rozstajnych drogach — to pogwałcenie elementarnego poczucia estetyki. Ten masowy fabryczny produkt z beznadziejną polichromią różowych karnacji i biało-niebieskich szat woła wielkim głosem o upowszechnienie kultury artystycznej wśród szerokich sfer ludności wiejskiej. Drogą do upowszechnienia jednak tej kultury nie jest bynajmniej narzucanie gotowych jakichś wzorów. Należało by raczej wyzyskać możliwości lokalnych, często domorosłych artystów, dając im możność rozwoju i kształcenia się, wyzyskując tradycjonalizm ich sztuki i wciągając w pracę na własnym terenie. Niezależnie od tego można by zainteresować tą sprawą artystów rzeźbiarzy, którzy mogliby dać nie szablonowe, a indywidualnie pojętą, choć liczące się zawsze z potrzebami kultowymi wsi i pewnym tradycjonalizmem formy figury świętych.



Dużo zrobić tu może wykształcony i doceniający stronę artystyczną zagadnienia kler. Niewątpliwie proboszcz może wpłynąć na decyzję parafian czy też zespołu fundatorów krzyża czy kapliczki w sensie wykonania, jeśli nie dzieła o wartości artystycznej, to przynajmniej nie grzeszącego prawom estetyki.

Problem można rozwiązać w rozmaity sposób. Zamówienie figury u kogoś z wybitniejszych artystów współczesnych nastręczy niewątpliwie trudności natury finansowej. Przezwyciężenie ich zależeć będzie od środków materialnych, jakimi dysponować będą fundatorzy. Rzecz jasna, że wybór artysty zależy wiele od okoliczności takich, jak np. oddalenie od większego centrum, gdzie można łatwiej znaleźć ludzi o większej kulturze ogólnej. Natomiast mniejsze środowiska prowincjonalne wczuwają się może lepiej w potrzeby kultu małych grup wiejskich. W pewnych wypadkach artyści sami mogliby wykorzystać wyjazdy wakacyjne dla zapoznania się z terenem i jego potrzebami w tym zakresie, z lokalnym pejzażem, architekturą, z potrzebami ludności i tradycjami regionu.

Specyficzny aspekt ma ta sprawa na terenach Ziem Odzyskanych, gdzie osiadają przesiedleńcy ze Wschodu. Element to na ogół przywiązany mocno do tradycji, przynoszący ze sobą swój obyczaj, swoje wierzenia i przywiązanie do przeszłości. — Były wypadki, że nowi parafianie kategorycznie żądali na Ziemiach Odzyskanych zamiany tryptyku rzeźbionego czy starego obrazu w głównym ołtarzu kościoła na wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, do której są przyzwyczajeni i głęboko przywiązani. Więc np. w Świebodzinie na Ziemi Lubuskiej *) usunięto w wielkim ołtarzu figurę rzeźbioną ze środkowej kwatery tryptyku XVI wieku, zamieniając ją zgodnie z życzeniem parafian na kopię obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej.

W pewnych wypadkach, gdy idzie o sprawy kultu, nawet i w kapliczkach przydrożnych byłaby niekiedy może lepszym rozwiązaniem dobra kopia jakiegoś wybitniejszego dzieła sztuki, niż bezwartościowy fabrykat masowej produkcji fabrycznej.

Jedno jest jeszcze źródło do wykorzystania dla uzyskania figur i kapliczek przydrożnych o bardziej indywidualnym charakterze i wyższym poziomie artystycznym, jednocześnie zaś odpowiadających potrzebom kultu. Sięgnąć by mianowicie trzeba do naszych muzeów, które jakkolwiek mocno przetrzebione przez rabunkowe metody okupacji niemieckiej — posiadają jeszcze dość zasobów, by dać poznać artystom dzieła polskiej sztuki religijnej, a w szczególności sztuki ludowej w postaci Chrystusa Frasobliwego (Muzeum Śląskie — dawniej w Katowicach, dziś w Bytomiu), świątków z Podhala (Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem) itd.

Niemałą pomocą byłyby zabytki średniowiecznej sztuki religijnej ujawnione przez polskich historyków sztuki w ostatnich kilku latach przed wybuchem II wojny światowej (wystawa polskiej sztuki gotyckiej w Warszawie w roku 1935, w Poznaniu w roku 1936), oraz zachowane dziś jeszcze zabytki w muzeach Warszawy, Krakowa, Poznania, w Muzeum Śląskim w Bytomiu i in. Dużą rolę mogą odegrać wystawy współczesnej i retrospektywnej sztuki religijnej, jak np. zorganizowana niedawno wystawa sztuki religijnej w Częstochowie.

Tak więc dla należytego postawienia tej sprawy potrzeba przede wszystkim dobrej woli oraz zrozumienia wagi tego zagadnienia. Chodzi wszak o poziom artystyczny przedmiotów kultu, które działać będą na szerokie rzesze ludności, a zarazem i o utrzymanie pierwiastków polskich w tej dziedzinie twórczości artystycznej.

Pewnym czynnikiem nie do pominięcia jest także pobudzenie w tym kierunku twórczości artystów i raelna dla nich pomoc w ciężkich dziś warunkach bytu w formie konkretnych zamówień. Minął bowiem już okres mecenasów sztuki, zapewniających artystom podstawy egzystencji. Zastąpić ich musi państwo i społeczeństwo.

*) Za wiedzą konserwatora.

JAN SZTAUDYNGER

Antyfona o nieśmiałej świętej

I.



KĄCIKU kruchty stała
Święta nieśmiała. —
Bała się wejść do kościoła,
Aby nie zbudzić anioła.
Bała się stanąć za progiem,
Aby nie minąć się z Bogiem . . .
Nie śmiejąc wefte, ni wefte,
Modliła się cichym szeptem. —
A człowiek przed progiem umierał
A kwiat mu na sercu wiądł.
W niebiosa z bólem spozierał,
Jak ryba rzucona na ląd. —
A obok stała święta,
Jak linia wieczorem zaśnięta,
Gdyby mu smukłą dłoń
Położyła na skroń
(Jak on kwiat na sercu położył),
Byłby ożył. —
Gdyby kwiat powąchała,
Jak tego tak bardzo chciała,
Byłby kwiat po wiek wieków
Trwał w nieśmiertelnym uśmiechu. —
Ale nie śmiała, nie śmiała, cóż stąd. —
Człowiek umarł, kwiat zwiądł.
A święta przykucnęła skulona
I człowieka i kwiat tuląc w ramiona
I bardzo się temu dziwi,
Że są oboje nieżywi. —
I na dzień Sądu niecierpliwie czeka,
By wskrzesić i kwiat i człowieka.
A nie wie, żeby mogła jednym muśnięciem powiek,
Jednym westchnieniem sprawić,
Że zmarły ożyje człowiek.
I że kwiat zapachnie, ot tak, bez powodu,
Piękniej, niż dziesięć ogrodów. —

Daremnie święci patronowie,
Patriarchowie,
Aniołowie,
Wyznawcy i biskupi
W niebie ze złości nogami aż tupią,
Jeden nawet za głowę się złapał,
Krzycząc: „Co to za fajtłapa".

— Nie patrzy nawet w ich stronę,
Bo oczy ma spuszczone. —
O, nieśmiałej świętej za to chwała,
Że taka jest nieśmiała,
Że cicha i przestraszona
Tuli umarłych w ramionach,
Że cudów żadnych nie czyni,
Choć mogłaby czynić tak wiele.
O, lepiej, niźli żyć,
Spać w barakowym kościele.
Na obrazie, co się spalił w walce
I w legendzie — historii rywalce. —

Ach spuśćcie, spuśćcie rolety,
W kościele Świętej Elżbiety,
Spuśćcie oczy, jak szybki zielone
I patrzcie w inną stronę,
Bo nazbyt ciekawa rzesza
Pacierze świętej pomiesza . . .
Już dosyć jest rozżalona,
Z umarłym kwiatem z bratem w ramionach. —

II.



DY czuję się sam . . . wieczorami,
Gdy mi oczy nabrzmiewają łzami,
Kiedym zepchnięty, pominięty, zmięty,
Modlę się do nieśmiałej świętej. —

Wiem, że stoi w kościelnej, zimnej sieni,
I jak jabłka jesienią się rumieni.
Wiem, że liczy gwiazdy na posadzce,
Zamiast wspiąć się ku gwiazdom na palce

Wiem, że mi nic nie poradzi, nie pomoże,
Od niczego nie uchroni, nie ustrzeże,
Że różaniec dźwiga, jak obrożę,
A jak ziarnka jałowca pacierze.

Wiem, że płacze, że się płaczem zanosi,
Bo nie umie żądać, pragnąć, prosić,
Umie tylko cicho stać w sieni,
Jak trądem nawiedzeni. —

Biedna święta, przegrana to bitwa.
Kiedy do niej doleci modlitwa . . .
Ona myśli, ręką gładząc czoło,
Że to anioł, albo może gołąb. —
I rozwinie klasztorne fartuchy,
By jej sypać łzy swe i okruchy . . .

Och, nikogo ona nie ocali,
Nie wyrobi wysokiej protekcji,
Stoi w sieni, jak ludzie nieśmiali,
Albo dzieci, nie umiejąc lekcji. —

I tak dobrze mi do niej się modlić,
Jakbym mówił w samo ucho ciszy . . .
Jakbym modlił się tchnieniem melodii . . .
Której nawet Pan Bóg nie usłyszy. —

I nie pragnę wcale wysłuchania
I nie pragnę spełnień i faworów,
Niech mi serce, jak dzwonek podzwania,
Gdy weń dzwoni cicha dłoń wieczoru . . .

A więc módlcie się, módlcie, ja proszę,
Tak, jak „kaczki" puszcza się na wodę,
Nie o grosze i nie o rozkosze,
Lecz o serce swobodne i młode.

III.

O ta święta to Polski patronka
I dlatego mało u nas słonka
I dlatego gleba taka marna
I dlatego ziemia tak cmentarna.
I dlatego na nic nasze bitwy
I dlatego bezsilne modlitwy. —

Lew teutoński legł i przygniótł łapą
A ty nic, ty święta, ty święta fajtłapo . . .

Ale tej świętej nieśmiałej, bracia nie złorzeczmy,
Najcudniejszy jest właśnie święty niedorzeczny. —
On nam palmę wyprosi męczeństwa,
On zapłatą nie obniży męstwa,
On nam szaty złote zmieni w zgrzebne,
Musem czyniąc męstwo niepotrzebne. —

Święta, święta, która sobą gardzi,
Panu Bogu miła jest najbardziej,
Nie poprosi nigdy o zapłatę . . .
Za Oświęcim, ni za Westerplatte . . .

Będzie stała aż po wieczność w sieni,
Jak trądem nawiedzeni, —
Cierniem ukoronowana,
Do krzyża przybita,
Święta i umęczona,
Jak Rzeczpospolita. —

O, ja pragnę Polski Wyspiańskiego,
Grzesznej, takiej, jak inne narody . . .
Lecz mi wolno, na dnie serca mego
Ujrzeć Polskę dawno wyszłą z mody,
Ma na głowie cierniową koronę
Jest i nie jest . . .
(O, łzy, o łzy słone.)

Co robią Niemcy

Kalendarz dzisiejszego żywota niemieckiego, przeplatany sentencjami bardzo znamiennymi

Kronikarz dzisiejszego żywota niemieckiego raz po raz musi sięgać do sentencji jako do środka zadumy, rady i sądu. Wypadki, które przynosi kalendarz niemiecki, mają pewien wymiar tragizmu, którego nie wolno lekceważyć, jeżeli pragnie się mieć Europę zdrową, uwolnioną od koszmarnych snów wojennych i od młodzieży, wznoszącej rytmiczne obłędne okrzyki wojenne. Tymczasem ... tymczasem znowu z kalendarza niemieckiego zapisałem parę kartek w moim notesie, znowu zmuszony zostałem wynotować zdarzenia, fakty, które więcej mówią o Niemczech dzisiejszych niż uczone elaboraty psychologiczne w tempie wolniejszym niesionej przez szaleńców.

Handlowe pismo niemieckiego księgarstwa „Börsenblatt für den deutschen Buchhandel" nadal jakby nigdy nic reklamuje niemieckich poetów wojny. W numerze z 6 września znajduje się wzmianka o Theodorze Körnerze, wciąż nazywanym poetą wojen wolnościowych, które jak wiadomo były antynapoleońskimi burdami. Pamiętamy zresztą krwiożercze wiersze Körnera z takimi okrzykami jak ten: „O szabli u mego boku, cóż znaczy ten blask w twym oku? Pozwól mi stal błyszczącą zanurzyć w sercu wroga". I ten wiersz reklamuje się dziś spokojnie ...

SENTENCJA: Dwie są choroby umysłowe, którym według mojego rozumienia zawdzięczamy dzisiejszy stan ludzkości: megalomania techniki i megalomania nacjonalizmu...

Paul Valery

Monachium było świadkiem pierwszych awantur ulicznych, wywołanych i przeprowadzonych według gotowych recept nazistowskich. Awantury spowodowali zwolennicy Partii Bawarskiej, którym nie spodobał się program kabaretu literackiego monachijskiego „Schaubude". Program miał to i pointę polityczną, w dzisiejszej zaś Bawarii ideałem życia staje się ucieczka od polityki postępowej, nawrót do tradycyjnych form życia i rządzenia, w których zamknięte też takie rodzą się Hitlerzy, tak szybko zbroją się młodzieńcy w pięści pancerne.

SENTENCJA: Największe błogosławieństwo, którego oczekują ludzie, to możność jak najdłuższego pozostawania dzieckiem.

Fryderyk Hebbel

Do pewnej amerykańskiej wytwórni filmowej, mającej swe biura na obszarze Niemiec, zgłosił się były referent hitlerowskiej Izby Filmu Rzeszy prosząc o posadę. W podaniu swym, podpisanym własnoręcznie, napisał natomiast następujące słowa: „...Moje czynności w Izbie Filmu Rzeszy, której stosunek do narodowego socjalizmu na skutek nieznajomości rzeczywistych warunków często bywa przeceniany, ograniczały się do zadań natury czysto fachowej..."

SENTENCJA: Komora gazowa w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, której stosunek do narodowego socjalizmu na skutek nieznajomości rzeczywistych warunków często bywa przeceniany ...

Lekarz obozowy Baumkötter
Kat Sachsenhausen

Szkoły na zachodzie Niemiec wciąż są terenem niespodziewanych wysoków, często przy współudziale nauczycieli, wysoków antydemokratycznych, prohitlerowskich. Ostatnio w kilku szkołach w strefie okupacyjnej angielskiej wywieszono portrety Hitlera. Widziała to miejscowa policja niemiecka i nie zarządziła zdjęcia ze ściany potępionych portretów. Widzieli to nawet jacyś żołnierze okupacyjni, a niektórzy z nich pytali się, kto to taki ten jegomość na obrazie. Wreszcie pewna kobieta, której mąż zginął na wojnie, z oburzeniem zażądała zdjęcia portretu. Młodzież szkolna odpowiedziała jej śmiechem a nauczyciel oświadczył, że nie ma prawa zachowywać się w tak bezczelny sposób w szkole, która została poświęcona pamięci Führera ...

SENTENCJA: Sam naród niemiecki musi udowodnić, że dojrzał do wzięcia udziału we wspólnej naszej cywilizacji. Jest jeszcze za wcześnie na wniosek, czy w świadomości niemieckiej zmieniło się cokolwiek.

Vincent Auriol
Prezydent Republiki Francuskiej

Trybunał denazyfikacyjny w Mühldorf rozpatrywał na dwudniowej rozprawie sprawę 27-letniego Augusta Breitenwiesera, byłego porucznika i komendanta miejscowości Burghausen. Po długich obradach, które toczyły się pod przewodnictwem Martina Pinsenera Breitenwieser zaliczony został do grupy pierwszej przestępców wojennych i skazany ze względu na swój młody wiek na pięć lat obozu pracy, przy czym jeden rok śledztwa zaliczono mu na poczet kary. Po rozprawie doszło przed gmachem trybunału do gorszących zajść. Przewodniczącego rozprawy nazwano niemiecką świnią, auto jego obrzucono kamieniami a kilku świadków świadczących przeciwko zbrodniarzowi poturbowano. W zajściach brały udział liczne grupy młodzieży, z których niektórzy mieli na sobie SA-mańskie koszule oraz spora gromada starszych. Jeden z głównych sprawców awantury został aresztowany i oczekuje rozprawy.

SENTENCJA: Jest rzeczą znamienną, że ludzie częściej mają odwagę do śmiałego czynu niż do śmiałego poznania.

Herwegh

Czasem warto przeglądać rubrykę matrymonialną w gazetach niemieckich. Prawda kryje się wszędzie, a kto wie, czy najwięcej nie ma jej właśnie w tych drobnych rządkach liter na ostatnich stronach gazet. Podobno policja aliancka z ogłoszeń drobnych wyłowiła już niejedną wiadomość o przygotowywanym sabotażu. Niniejsza wiadomość ma skromniejsze znaczenie dla uporządkowania życia w Niemczech powojennych. Jest to bowiem, jako się rzekło, wiadomość matrymonialna. „Freiherr (rolnik), 50 lat, 100.000 RM w gotówce, pragnie za moim pośrednictwem poznać damę z uczuciem, która umożliwi mu wżenienie się w majątek ziemski. Oferty pod Frau Horstmann, Brema, Kohlhökerstrasse 7, tel. 24794. Osobiście w godzinach 14—18. Filie we wszystkich większych miastach".

SENTENCJA: Gdy ktoś ci powie, że słowo jego ma tę samą wartość co jego podpis, weź jego podpis.

Przysłowie ukraińskie

Prawda o niemieckim życiu, o przyszłości narodu niemieckiego ukryta jest w imponderabiliach codziennego życia, w drobnych ułamkach zdarzeń. Trzeba je zapamiętywać, aby zapamiętać kierunek życia niemieckiego. Kto odmówi prawa sentencji, gdy ułamki życia mówią w sposób tak wyraźny, niech się zastanowi nad tym wszystkim? Już tak się utarło, że wszystko co niemieckie musi się zacząć lub skończyć na Goethem. Do kalendarza niemieckiego warto zatem wynotować taką myśl Weimarczyka: „Dłużniektórzy lat nie naprawi tego, ile złego zdziałać może jeden Niemiec. Wiem, żeśmy takich mieli w naszej historii, pracujcie Niemcy nad tym, by ich już więcej nie było. Ale ja jestem pesymistą, wierzę bowiem, jeśli chodzi o Niemców, w tak zwane prawo serii ..."

WISZ

Odwiedziny w Muzeum Miejskim
w Szczecinie

Biały, marmurowy posąg Wenus Milońskiej i ciemne brązy posągów zamyślonego Demostenesa, rozpasanego Bachusa czy kształtnego efeba greckiego, pokryte są cieniustką warstewką pyłu. Stoją tu w małym przedsionku wielkiego gmachu w Szczecinie, przy ulicy Janisławy i Placu Żołnierza od dawna, bo przeszło od dwóch lat, czekając na jasną, obszerną salę, w której słuchacze Szkoły Sztuk Pięknych i kulturalna publiczność szczecińska mogłyby się uczyć z ich nieskazitelnych kształtów i linii klasycznego piękna. Cienka warstwa pyłu, pokrywająca szczecińskie marmury i brązy, nie jest jednak oznaką zapomnienia czy zaniedbania, ale właśnie rychłej zapowiedzi, że ich pobyt w tym przedsionku zbliża się ku końcowi.

Otóż właśnie robotnicy przenoszą cebry z wapnem, odbijają tynk, wznoszą rusztowania. Na parterze, na pierwszym piętrze, w kilkunastu salach trwa wszędzie gorączkowy ruch i krzątanina. Szczecińska Dyrekcja Odbudowy, która remontuje wielki gmach Muzeum, zawierający około 30 dużych sal i pokoi — spieszy się, ażeby na koniec bieżącego roku zakończyć swe prace. Wówczas wszystkie eksponaty, archiwa i zabytki znajdą należyte, estetyczne pomieszczenie, a społeczeństwo szczecińskie będzie mogło zapoznać się dokładniej ze wszystkimi bogactwami kulturalnymi, które to Muzeum zawiera. Wiadomo, remont budynku nie sprzyja pracy zawodowej, ale pracownicy Muzeum, kustosze poszczególnych działów, a przede wszystkim dyrektor Muzeum, p. Lech Krzekotowski, pełni są radości i entuzjazmu. Ich dwuletni trud, dwuletnia ciężka praca, wykonywana w niezwykłych nieraz warunkach, daje wreszcie pożądany rezultat. Poza tym Muzeum, odległe zaledwie kilkadziesiąt kroków od Piastowskiego Zamku, który słusznie nazwać można „szczecińskim Wawelem", zwiąże się z przepięknym widokiem na Odrę i Zamek, po uporządkowaniu całej przestrzeni, wiodącej od Muzeum do portu. Odnowione Muzeum i odrestaurowany Zamek będą wówczas najważniejszymi ośrodkami zabytkowymi Szczecina, związanymi ze sobą bliskością miejsca.

W wyremontowanych już suterenach mieszczą się chwilowo ważniejsze zabytki: rzeźby, obrazy, zbroje dawne, wyroby metalowe i tym podobne eksponaty. Na parterze remontuje się duże sale wystawowe. Tu mieścić się będzie galeria polskiego malarstwa i rzeźby. Muzeum Szczecińskie znajduje się bowiem na liście sześciu najważniejszych muzeów polskich, które otrzymają objazdową galerię malarstwa i w których stale gościć będą wszystkie objazdowe wystawy. Tu odbywać się będą większe koncerty oraz prelekcje na temat sztuki, połączone z poglądowym pokazem zabytków, względnie z ich wyświetlaniem. Niewiele osób bowiem wie, że Muzeum nasze posiada jeden z największych w Polsce zbiorów diapozytywów z zakresu sztuki, a więc malarstwa, rzeźby czy architektury. Cyfra 18 tysięcy diapozytywów mówi sama za siebie. Trzeba tylko zmontować ciemnię i zakupić epidiaskop. Należy też zaznaczyć, że część ciekawszych zbiorów z zakresu zwłaszcza rzeźby starożytnej, oddał Szczecin Muzeum Narodowemu w Warszawie. I słusznie, zasadniczo bowiem zabytki te potrzebniejsze są w Warszawie, aniżeli u nas, w Szczecinie. W salach wystawowych parteru znajdą też pomieszczenie bogate zbiory z historii miasta i regionu szczecińskiego.

Przechodzimy na pierwsze piętro. I tu trwa generalny remont. Drogę zagradzają nam jednak nie robotnicy i ich narzędzia pracy, ponieważ w tej chwili robotnicy pracują w czterech wielkich salach wystawowych, ale... eksponaty działu zoologicznego. Okazuje się, że Muzeum Szczecińskie posiada też bogaty dział zoologiczno-botaniczny. Co więcej, Muzeum nasze przesłało do Warszawy, ściślej biorąc do Państwowego Muzeum Zoologicznego, olbrzymi zbiór eksponatów entomologicznych, czyli zbiorów dotyczących życia owadów, dzięki czemu Muzeum Zoologiczne w Warszawie posiada obecnie jeden z największych tego rodzaju zbiorów w Europie. Nie obyło się jednak bez targów i wzajemnych korzyści. Za przesłane eksponaty Warszawa zobowiązała się urządzić w Muzeum Szczecińskim kompletną wystawę dydaktyczną, dotyczącą przyrodoznawstwa. Szkoły szczecińskie będą więc mogły skorzystać z pokazów przyrodniczych, przysłanych z Warszawy, nasi zaś uczeni, specjaliści działu entomologicznego, skorzystają z rzadkich i cennych zbiorów, które tu, w Szczecinie nie spełniłyby należycie swej funkcji. Ale wróćmy do działu historii. Jedna sala zapchana jest dosłownie bogatymi zbiorami grafiki. Znajdujemy tu sztychy, miedzioryty i staloryty różnych krajów z różnych okresów historii, począwszy od XVI do XX wieku. Najwięcej jest włoskich, francuskich i niemieckich. Z zainteresowaniem oglądamy grafikę gdańską znanego sztycharza polskiego pochodzenia, Daniela Chodowieckiego. Podobno Gdańsk, miasto rodzinne Chodowieckiego, nie ma ani jednej części tych sztychów. W jednej z dalszych sal śledzimy z ciekawością bogaty zbiór pieczęci pomorskich książąt, cechów, miast i szlachty pomorskiej. Z należytym pietyzmem przerzucamy karty starych ksiąg średniowiecznych, zajmujących niemal całą salę. Zwiedzamy pracownię i bibliotekę, zawierającą dzieła, dotyczące wszystkich kierunków sztuki oraz salę, przeznaczoną na eksponaty etnograficzne. Wracając do sali, gdzie mieści się grafika, zwracamy mimo woli uwagę na paki i skrzynie, stojące w kącie. To część zbiorów, przeważnie prehistorycznych, przeznaczonych na wywóz do Warszawy. Wśród nich znajduje się słynna karoca Sobieskiego, przerobiona później, za czasów niemieckich na ambonę i wywieziona do Radacza, małego miasteczka na Pomorzu Zachodnim, skąd po zidentyfikowaniu przewieziono ją do Szczecina. Muzeum Szczecińskie ofiarowało ją Muzeum Wilanowskiemu. I słusznie, bo tam jest jej właściwe miejsce.

Pozostaje jeszcze jeden dział: prehistoria. Kustosza tego działu, mgr. Wieczorowskiego, nie odnajdujemy jednak w Muzeum, lecz w Zamku Piastowskim. P. Wieczorowski, jak nas informują, „kopie" w Zamku. I rzeczywiście, tam go odnajdujemy. Ten cichy, zapracowany prehistoryk dokonał już wielu ciekawych odkryć w Zamku. Ambicją jego jest, aby rozwiązać systematycznie te tajemnice prehistoryczne Zamku, które Niemcy celowo pomijali. P. Wieczorowski, odkrył niedawno „drugi Wolin" na dziedzińcu zamkowym. Na obszernej, kilkumetrowej przestrzeni widać wyraźne szczątki drewnianej osady słowiańskiej, przypominającej konstrukcją wykopaliska w Wolinie.

Z Zamku wracamy do Muzeum. P. Wieczorowski pokazuje nam 4 duże sale, które przeznaczone są na zbiory prehistoryczne. Oglądamy z ciekawością kamienne i gliniane naczynia grobowe Słowian, ich uzbrojenia, ozdoby i różne przedmioty codziennego użytku. Każdy zabytek ma swoją metrykę, ułatwiającą rozpoznanie i segregację według okresów i epok.

Kiedy wychodzimy z Muzeum, na ulicy panuje ożywiony ruch. Z daleka błyszczy Odra, dymią kominy statków, i zygzakami prują niebo dźwigi portowe. To bezpośrednie przejście z gmachu, w którym spoczywa kamiennym snem zabytków historia, na widoki bujnego życia miasta i portu uświadamia nam z dziwną siłą i nie bez pewnego wzruszenia, że jesteśmy tu w Szczecinie, na Pomorzu Zachodnim, rzeczywiście na „ziemi odnalezionych przeznaczeń historycznych".

Stanisław Telega.

Rozmowa z Kisielem

Na początku listopada odbył się w Krakowie Zjazd Studenckich Kół Polonistycznych. Podczas obrad ścierały się dwie zasadnicze interpretacje dzieła literackiego: katolicka i marksistowska. Żywy (nieraz zbyt żywy) udział w dyskusjach zabierali również zaproszeni goście. Między innymi Stefan Kisielewski, popularny Kisiel z „Tygodnika Powszechnego". Odezwał się tylko raz. Nie jest w tej chwili ważne, co powiedział, istotne natomiast, że jego wypowiedź była ze strony obecnych tam katolików głosem najrozsądniejszym. Zdumiewał przy tym fakt, iż „frywolny" felietonista nie „przemycił" się żadnym dowcipem. Mówił poważnie, tonem człowieka lekko zakłopotanego. Odrobinę się zacinał. Trudno by wytropić w nim wówczas kpiarza, który w swych felietonach co pewien czas pokazuje przeciwnikom język. Gdy po obradach prosiłem go o rozmowę, tonem równie poważnym jak podczas dyskusji — powiedział: „Tylko proszę o konkretne pytania, bo jestem zupełnie wypompowany z inwencji". Dzięki takiemu dictum, szykując się raczej do czegoś w rodzaju „beczki śmiechu", przeprowadziłem ze znanym felietonistą rozmowę ad a do zet poważną. „Pod nóż" poszło najpierw „Sprzysiężenie". Zacząłem:

— Niektórzy twierdzą, że każdy autor przez pewien czas po wydaniu dzieła czuje do niego coś w rodzaju wstrętu. Czy gwałtowna dyskusja nad „Sprzysiężeniem" ten wstręt w panu wzmogła czy osłabiła? Jest pan już autorem drugiego utworu (drukowana obecnie w „Dziś i Jutro" powieść kryminalna „Zbrodnia w Dzielnicy Północnej"), ma pan więc możność porównania swego nastawienia do własnych prac.

— Nie mam tej możności, bo „Zbrodni w Dzielnicy Północnej" jeszcze nie skończyłem. Piszę ją odcinkami. — Dyskusja wokół „Sprzysiężenia" opiera się raczej na pomyłkach. Zarówno krytycy materialistyczni jak i spirytualistyczni szukali w książce tego, co chcieli w niej dostrzec, nie tego, co w niej jest. Nie będę w tej sprawie podejmował polemiki, zwłaszcza że odszedłem już od atmosfery tej książki zupełnie. „Sprzysiężenie" było po trochu strząśnięciem pierwszego nadmiaru atramentu z pióra i okazją do wygadania się. Pod względem formalnym powieść jest workiem, do którego wrzucone zostały niejednokrotnie elementy bardzo różnolite. Zniechęciłem się właściwie do tej formy — to można napisać tylko raz.

— Dlaczego pan ją obrał?

— Stało się to po części pod wpływem rozmów, jakie w czasie okupacji prowadziłem z Czesławem Miłoszem na temat konieczności przełamania w powieści tradycyjnych konwencji formalnych. Myśli nasze na ten temat były dość zbliżone. Miłosz był zresztą pierwszym czytelnikiem „Sprzysiężenia", które bardzo wnikliwie ocenił.

— Widać, że „Zbrodnia w Dzielnicy Północnej" już tego przełamania nie próbuje.

— Nie. „Zbrodnia" jest zupełnie inna. Dla tej inności mam zresztą swoje specjalne uzasadnienie. Pisarzy ze względu na rodzaj ich „metier" dzielę na: komórkowców, konstrukcjonistów i intelektualistów. Komórkowcy odznaczają się indywidualnym stylem, którego każdy jednostkowy element (choćby zdanie) ma specyficzne, właściwe danemu autorowi zabarwienie i rytm. Wystarczy lektura jednej strony komórkowca, aby powiedzieć, że mamy na przykład do czynienia ze Straszewiczem (jeden z najbardziej oryginalnych i niedocenionych pisarzy dwudziestolecia). Konstrukcjoniści mają swoje atuty nie w poszczególnych elementach prozy, lecz w budowie całości, intelektualiści wreszcie dobierają sobie formę i rodzaj „z zewnątrz" — zależnie od planu koncepcyjnego. Zaliczam siebie raczej do ostatniego typu, stąd pragnąłbym napisać w życiu książki bardzo rozmaitych rodzajów i stylów.

— Czy może pan zdradzić, jak mu w ogóle idzie pisanie? Bo różnie z tym bywa.

— Mam „nacieki" inwencji. W takich chwilach piszę szybko i — zwykle — lepiej niż wówczas, gdy ślęczę nad „zadanym" tematem.

— Posiada pan popularność jako felietonista i pisarz, a przecież wiadomo, że jest pan przede wszystkim muzykiem i krytykiem muzycznym. Czy nie zechciałby pan powiedzieć coś o tamtych sprawach?

— Proszę. Skończyłem trzy wydziały Konserwatorium Warszawskiego: fortepian, kompozycję, teorię. Miałem już przed wojną spory dorobek kompozytorski: symfonię, uwerturę, koncert kameralny, kwartet smyczkowy i inne. Gotowałem się do startu. Wszystko jednak poza kwartetem zginęło w trakcie powstania warszawskiego. Często żałuję, ale nie czas żałować róż. Byłem przed 39 rokiem referentem muzycznym Polskiego Radia w Warszawie. Z muzyką nie zerwałem, uczę obecnie harmonii i instrumentacji w Konserwatorium Krakowskim. Na komponowanie nie mam jednak czasu.

— Jak to się stało, że muzyka musiała w pana życiu zejść na drugi plan?

— Sprawiła to po części tradycja rodzinna, po części studia i wreszcie obecna „nowa rzeczywistość". Pracę pisarza uważam za ważniejszą niż pracę muzyka. Jeśli idzie o tradycję, pisarzem był przecież mój ojciec Zygmunt oraz stryj — Jan August. Gdy wreszcie mowa o studiach, mam poza sobą dwa lata polonistyki i rok filozofii. Pisywałem już trochę przed wojną w „Polityce". Wraz ze Stefanem Żółkiewskim należałem wtedy do Legionu Młodych, gdzie wchodziłem w skład tzw. Seminarium Prądów Ideowych, prowadzonego przez Wincentego Rzymowskiego. Do „Tygodnika Powszechnego" trafiłem po wojnie za pośrednictwem Miłosza, który wskazał mnie Turowiczowi jako recenzenta muzycznego. Poza tym „Tygodnik" wydrukował mi pierwszy po wojnie artykuł („Tematy wojenne"), którego nigdzie nie chciano przyjąć. To mnie zachęciło. Po recenzjach przyszło „Pod włos" itd.

— A propos: czyje „Podwłosie" było wcześniejsze? Pana czy Niejakiego X-a?

— Niejakiego X-a. Plagiat, zresztą nieświadomie, popełnił redaktor Turowicz. Trzeba by pomyśleć o zmianie tego tytułu.

— Redakcja „Tygodnika" pozostawia panu, jak można zauważyć, dość dużo swobody. Czytaliśmy nieraz wypowiedzi, które drukowano, chociaż na marginesie był uwagi, że wypowiedzi te niezupełnie są w zgodzie z poglądami redakcji. W związku z tym chciałbym zadać drażliwe pytanie: czy pan jest światopoglądowo zdecydowany?

— Pytanie jest istotnie drażliwe. Odpowiem krótko: jestem katolikiem, ale sądzę, że w ramach katolicyzmu możliwe są różne poglądy, zwłaszcza na sprawy sztuki i kultury, także jednak i na sprawy społeczne oraz gospodarcze (osobiście na przykład jestem zwolennikiem liberalizmu gospodarczego).

Rys. E. Głowacki

— W jednym z felietonów, opatrzonych właśnie takim zastrzeżeniem redakcji, wymienił pan dziesięć najlepszych w literaturze europejskiej książek. Co pan sądzi o uwadze w „Dziś i Jutro", które zmodyfikowało pana wykaz, podstawiając na miejsce kilku pozycji tytuły powieści katolickich?

— Bardzo cenię grupę „Dziś i Jutro", wnoszącą do naszego nazbyt unormowanego życia polityczno-ideologicznego elementy fermentu, elementy nie szablonowej „inicjatywy prywatnej", ale powiedzieć muszę, że ich wypowiedzi na tematy literackie bywają często prymitywne i jednostronne — jak właśnie w tym wypadku. Katolik nie może zamykać oczu na prawdę, zaś prawdą niewątpliwą jest, że najwybitniejsze powieści europejskie nie są „katolickimi" w ścisłym tego słowa znaczeniu. Wydaje mi się jednak, że zadaniem nowoczesnego krytyka katolickiego jest wykazanie, że dzieła te mimo wszystko powstały w „aurze" katolicyzmu, w atmosferze jego przez wiele wieków rozwijanej problematyki moralnej i są — chcąc nie chcąc — czasem a rebours odbiciem tej problematyki. Słowem dzieła te należy „ochrzcić" jak to zrobił św. Tomasz z filozofią starożytnej Grecji, nie zaś odcinać się od nich gestem inkwizytorskim. Katolicyzm nowoczesny musi sięgać w różne dziedziny ludzkiej kultury — minimalizm jest tu poważnym błędem.

— Marksiści propagują socjologiczną interpretację literatury jako interpretację jedynie właściwą. Czy nie uważa pan, że mają słuszność, traktując literaturę jako wytwór konkretnych warunków społecznych i ekonomicznych?

— Nie mam bynajmniej zamiaru odmawiać słuszności zasadzie takiej interpretacji. Wydaje mi się jednak, że interpretacja ta nie jest pełna, nie daje całkowitego określenia dzieła literackiego. A poza tym nie rozumiem, dlaczego zwolennicy tej metody tak się za każdym razem cieszą, że jeszcze na tym i na tamtym przykładzie potwierdza się ta metoda. Uciecha taka byłaby zrozumiała w momentach pogłębiania i rozszerzania metody, a nie tylko jej potwierdzenia. Demonstrowane nam na Zjeździe Polonistów próby stosowania tej metody raziły prymitywną demagogią (sprawa „Dzieci" Prusa). Poza tym Żółkiewski „odkrył" na przykład w „Konradzie Wallenrodzie" obraz atmosfery, w jakiej to dzieło powstało. Nie neguję znaczenia owej atmosfery, czytającego będzie ona jednak interesowała daleko mniej od zawartego w „Konradzie Wallenrodzie" problemu etycznego, który ma cechy nieprzemijalności, tzn. cechy prawdziwej sztuki.

— Przejdźmy do spraw poziomych. Mieszka pan w Domu Literatów, czyli, jak to kiedyś powiedział Żukrowski, w czworakach literackich. Czy życie w „czworakach" jest istotnie tak „uciążliwe", jak to pan przedstawiał w którymś felietonie?

— Powiedział ktoś, że spotkanie dwóch pisarzy powinno być pewnym przeżyciem intelektualnym. Być może, ale nie wtedy, gdy pisarze mieszkają w jednej kamienicy, spotykają się wciąż i to przy najbardziej prozaicznych czynnościach. Poza tym Kraków jest mały. Nim dojdę do Rynku, mam łeb pełen najrozmaitszych, cudzych poglądów. Wielu ludzi cierpi tu na istną biegunkę myślową i to zaraźliwą. Można oszaleć. Teraz się już zresztą poprawiło, bo unikam wszelkich dyskusji, o ile tylko się da, i mam jaki taki spokój.

— Czy nie zechciałby pan na zakończenie dorzucić coś z własnej inwencji?

— Owszem, „naciekły" mi w czasie rozmowy dwie sprawy. Pierwsza to sprawa apolityczności pisarza. Dziwi mnie, że dziś, w czasach ścierania się światopoglądów, w okresie odbudowywania życia społecznego i narodowego, tylu pisarzy kryje głowę w piasek. Jest to według mnie szkodliwa „nieśmiałość". Sprawa druga to nazywanie przez pewne koła światopoglądu katolickiego światopoglądem idealistycznym. Przecież idealizm jest jednoznacznym terminem filozoficznym, określającym przekonanie, że świat materialny jest tylko jakimś odbiciem innego, pozazmysłowego świata. Koncepcja ta jest równie obca katolicyzmowi jak materializmowi. Dla typu filozofii katolickiej właściwszą nazwą byłby spirytualizm. Na to zasadnicze rozróżnienie zwrócił niedawno uwagę Wincenty Lutosławski w liście do redakcji „Dziś i Jutro". W istocie katolicyzm jest nie mniej realistyczny od marksizmu, wierzy tylko, że po przez materię działa Duch. Z etykietką idealizmu warto by już skończyć.

Rozmowę przeprowadził
Jan Gawałkiewicz

Rok 1848 na Śląsku

Konkurs
Wojewódzkiej Rady Kultury
w Katowicach

Wojewódzka Rada Kultury w Katowicach ogłasza konkurs na zbiór inscenizacji lub sztukę sceniczną dla świetlic o tematyce „Rok 1848 na Śląsku". Prace zaopatrzone godłem nadsyłać należy do dnia 15 lutego 1948 roku na adres biura Wojewódzkiej Rady Kultury w Katowicach, ul. Warszawska 37. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w dniu 1. 3. 1948 r.

Przewidywane nagrody: I. nagroda — 50.000 zł, II. — 30.000 zł, III. — 20.000 zł.

Przegląd prasy niemieckiej

TÄGLICHE RUNDSCHAU

(Berlin, (str. sow.)

W Wiesbaden ukazał się zbiór 26 studiów o współczesnych poetach i poezji, niejako pierwszy zarys najnowszej literatury. Jego autorzy Stefan Hermlin i Hans Mayer postawili sobie za zadanie spopularyzować — jak mówią — „formę i znaczenie essayu". Właśnie krytykowi literackiemu przypada dzisiaj zadanie przyspieszenia procesu przemiany w społeczeństwie niemieckim, przez to te będzie on tłumaczył postępowo—humanistyczną literaturę i umożliwiał niemieckiemu przyjacielowi książek dostęp do literatury światowej, który nazbyt długo był zamknięty. Książka pod tytułem „Poglądy na niektórych nowych pisarzy i książki" ukazała się w „Limes-Verlagu" w Wiesbaden i wyjdzie wkrótce w większym nakładzie także w berlińskim wydawnictwie „Volk und Welt". Obaj autorzy zanalizowali najnowsze publikacje książkowe międzynarodowego rynku książkowego, wśród nich takie, które — sądząc po tytułach — zaledwie w Niemczech dotychczas były znane. Dzięki temu, że obaj pisarze żyli długie lata za granicą było dla nich możliwe napisanie dzieła o światowym zasięgu duchowym, które zapełnia dotkliwą lukę w najnowszej krytyce literackiej. Znajdujemy tu pozytywną i zgoła krytyczną ocenę dzieła Tomasza Manna, Ilji Erenburga, Thorntona Wildera, Jeana Giraudoux, Henryka Manna, Włodzimierza Majakowskiego, Johna Steinbecka, Teodora Plieviera, Anny Seghers i in. Autorzy nie unikają stawiania socjalnych i społecznych problemów współczesności, lecz w realistycznej wizji świata ukazują, jak te ostro zarysowane zagadnienia współczesnego życia znajdują swe odbicie także w powieściach, pamiętnikach, monografiach i poezjach. Czy przy tym mówią o nieznanych jeszcze tutaj „Pamiętnikach od nastania Trzeciej Rzeszy" Tomasza Manna, czy też np. krytykują „Perfekcję Techniki" ucznia Stefana Hermlina w związku z jej biernymi rozwiązaniami, czy przeciwstawiają definicję „żołnierskiego honoru" Karola Jaspersa bardziej rozległemu ogólnoludzkiemu honorowi, zawsze docierają oni do jądra i kwintesencji badanych przez siebie nowych książek, jakkolwiek czynią to bardzo osobiście i nie bez pewnego subiektywnego zabarwienia. Czytelnik zaczyna mieć pojęcie o skutecznych dzisiaj tendencjach i jest równocześnie informowany o anglosaskiej, sowieckiej, francuskiej i postępowej niemieckiej literaturze. Zadaniem historyków literatury będzie wykorzystanie zademonstrowanych tutaj na pojedyńczych przykładach najnowszych prądów w nienapisanej jeszcze a pełnej pracy krytycznej. Książka pt. „Poglądy" przedstawia tutaj znamienną podstawę dyskusji.

(„Blick auf den Büchertisch".)

EUGENIUSZ ZIELIŃSKI

Gwiazda

Boże chmur ciemnych, podbitych jasnym, lisim księżycem
zbaw gwiazdę jedną, jak bardzo srebrną nutę słowiczą.
Krzyżem rozpadły się ręce nasze przed wysokością
nuty świecącej, gwiazdy grającej w sercu wieczności —
Boże chmur ciemnych, podbitych jasnym, lisim księżycem.

Gwiazdami w chatach palono wtedy pośród pól zbiegu,
żmije wylęgły się w karczmie starej z próchna sypkiego.
Kij z torbą ruszył w świat po omacku, na pośmiewisko,
na chwilę krótką zagasło wszystko, przepadło wszystko —
gwiazdami w chatach palono wtedy pośród pól zbiegu.

A ziemia była mieczem przebita jak pierś w ofierze,
w księżyc wpatrzona, który urocznym świecił szkaplerzem.
Pierwszej wielkości, czysta i srebrna stała w zenicie
gwiazda, za którą można by oddać z uśmiechem życie —
a ziemia była mieczem przebita jak pierś w ofierze.

JAN BARANOWICZ

Nokturn

Na topolach jużbyś zliczył witki,
przerzędziły się włosy zielone.
Wieczór śpiewa i wiatr. Gdzieś w zaułku
buciskami w potoku traw tonę.

Liście są jak spadające gwiazdy,
gdy gałęzie światło auta muśnie.
Wieczór śpiewa i wiatr. O pień szorstki
wsparłem ciało, obojętny gnuśnie.

Niewidzącym po cóż krajobrazu? —
niech go rzeźbi krzywy nóż miesiąca.
Wieczór śpiewa i wiatr. Nocna sowa
— myśl o dziuplę czaszki skrzydłem trąca.

Mógłby zmienić chłodny sens jesieni
ktoś, czyj uśmiech prostość niósł mym plecom.
Wieczór śpiewa i wiatr. Szczodrze, cierpko
zmarłe listki na głowę mą lecą.

EGON NAGANOWSKI

Maski dyktatora

Cokolwiek byśmy sądzili o Adolfie Hitlerze nie ulega wątpliwości, że przeszedł on do historii. Przyszły dziejopis przyzna mu wprawdzie — jak wolno przypuszczać — dużo skromniejszą rolę w wypadkach ostatnich kilkunastu lat, niż my współcześni, zredukuje jego osobiste znaczenie na rzecz wpływu szeregu osób, a szczególnie na rzecz ogólnych tendencji, które nurtowały w owym czasie naród niemiecki, niemniej w żaden sposób nie będzie go mógł pominąć. Przede wszystkim jednak wódz III Rzeszy stanie się na pewno nęcącym obiektem szczegółowych badań psychologów. Już obecnie obserwujemy za granicą, szczególnie we Francji i Szwajcarii, pierwsze kroki w tym kierunku. Niestety dla polskiego badacza nie wszystkie jeszcze dzieła są w danej chwili osiągalne. Trzeba się więc zadowolić mocno niekompletną bibliografią. Książka Rudolfa Graua pt. „Gehört er ins Pantheon der Weltgeschichte?“ (Czy należy mu się miejsce w panteonie dziejów świata — Wiesbaden 1947) nosi wprawdzie obiecujący podtytuł: „Próba krytycznej psychologicznej analizy Adolfa Hitlera“, lecz jako dzieło dziennikarza dysponującego nikłymi wiadomościami z dziedziny psychologii, a szczególnie psychopatologii, nie wykracza poza prymitywne komentowanie „Mein Kampf“ w sensie raczej historycznym. Grau idzie po linii najmniejszego oporu i nie wyciąga zadowalających wniosków. Kilka dostępnych mi przyczynków ludzi nauki posiada tę wadę, że interesując się Hitlerem pobocznie, nie naświetlają jego postaci obszerniej i wszechstronniej, wydobywają jedynie niektóre charakterystyczne cechy, pozostawiając resztę w cieniu. Dlatego najcenniejsze są właściwie reportaże i pamiętniki osób, które zetknęły się bezpośrednio z dyktatorem z Berchtesgaden, ale te znów — z nielicznymi wyjątkami — są surowym materiałem wymagającym opracowania. To samo odnosi się, rzecz oczywista, do „Mein Kampf“, z którego można wyczytać dużo więcej, niż to zdołał uczynić Grau. W sumie zebrałem pewną ilość faktów, spostrzeżeń i danych, które dopiero po uporządkowaniu w jedną całość mogą dać przejrzysty obraz. Próbą ułożenia takiego obrazu-szkicu jest niniejszy artykuł.

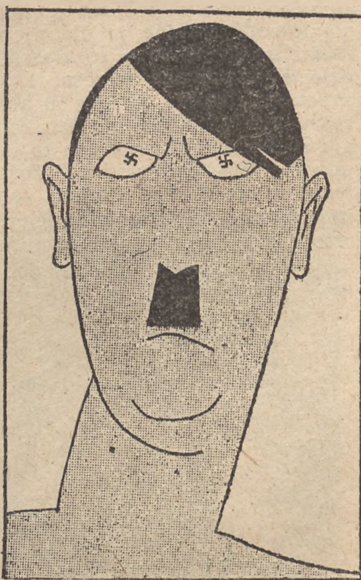
TRZY TWARZE

Wśród ludzi, którzy szczegółowiej scharakteryzowali zewnętrzną postać Hitlera należy w pierwszej linii wymienić b. ambasadora francuskiego w Berlinie, François Ponceta. Pisze on (w „Souvenirs d'une ambassade a Berlin“, Paryż 1947) m. in. co następuje: „Osobiście odkryłem u niego (Hitlera) trzy twarze, którym odpowiadają trzy strony jego charakteru. Pierwsza twarz była szara. Zwiotczałe rysy, zamazana barwa skóry, mętne, okrągłe, zagubione w jakimś śnie oczy wywoływały wrażenie nieobecności i oddalenia. Obłędna i niepokojąca twarz medium czy somnambulika. Druga twarz była ożywiona, zaczerwieniona, porwana namiętnością. Nozdrza drgały, oczy błyszczały. Na tej twarzy była wypisana gwałtowność, żądza panowania i ciemiężenia, nienawiść do wrogów, podłość i ryzykanctwo, dzika, światoburcza energia, wyżywająca się w naporze i agresji — twarz szalonego. Trzecia wreszcie należała do niewinnego, ociężałego i prostego człowieka, którego nie trudno rozweselić, który wybucha nieokrzesanym, hałaśliwym śmiechem, popartym silnym klepaniem się po udach. Twarz powszechnie spotykana. Podczas rozmowy z Hitlerem można było niekiedy zaobserwować wszystkie trzy twarze, jedną bezpośrednio po drugiej.“

CHERLAK

Wizerunek podany przez Ponceta uzupełnia wybornie Hermann Rauschning („Gespräche mit Hitler“, Rozmowy z Hitlerem, wyd. w Szwajcarii, 1940) oraz znany szwajcarski psycholog prof. C. G. Jung (w „Neue Schweizer Rundschau“, czerwiec 1945). Pierwszy zwraca uwagę na wybitnie brzydkie czoło, zduszony, gardłowy, niesympatyczny głos, drobnomieszczańską nieporadność w zachowaniu się i prowadzeniu rozmowy, pozostawanie w stanie dziwnego letargu z niepowiązanymi, zupełnie nieoczekiwanymi wybuchami rozdrażnienia i ekstazy. Drugi zaś podkreśla pozerstwo „z kiepskich filmów“, teatralną „nieugiętość“ i „demoniczność“ skopiowaną z „bohaterów groszowych romansideł“ oraz wygląd postaci „robiącej wrażenie... stracha na wróble z wetkniętym trzonkiem od miotły zamiast wzniesionego ramienia“. Ogólne wrażenie to dysproporcja poszczególnych części ciała jakby źle do siebie dopasowanych (Kretschmerowski dysplastyk?), całość obwisła i cherlawa poniżej najskromniej przyjętego przeciętnego poziomu...

Jeżeli za fińskim lekarzem przybocznym Himmlera, dr. Feliksem Kerstenem (zapiski ogłoszone w „Sunday Express“, marzec br.), i Gerhardem Boldtem („Die letzten Tage der Reichskanzlei“, Ostatnie dni kanclerstwa Rzeszy, Hamburg, Stuttgart, 1947) przydamy jeszcze ustawiczne drżenie lewego ramienia, które wzmogło się pod koniec życia, lecz istniało już od dawna, oraz pociąganie za sobą lewej nogi, to zewnętrzna sylweta wodza III Rzeszy ukaże się dostatecznie wyraźnie. Trzeba też dodać, że Hitler w młodości poważnie niedomagał na płuca (gruźlica w rodzinie), że posiadał predyspozycję do raka, cierpiał na chroniczną bezsenność, dokuczliwe bóle i zawroty głowy, że chorował na gardło (operacje)



„Der schöne Adolf“ (wg „Hoy“, Santiago, Chile, z września 1932).

i oczy (groziła mu ślepota z powodu zagazowania na wojnie), że jako żołnierz nabawił się syfilisu, był od lat impotentem i że prawie pewna diagnoza z r. 1942 brzmiała: paraliż postępowy.

„PIĘKNY ADOLF“

Ale pominąwszy nawet schorzenia w ciągu życia nabyte, nie ulega wątpliwości, że Hitler był z natury słabowity i że odznaczał się szpetotą fizyczną. Mimo, iż zaślepieni Niemcy nazywali go „der schöne Adolf“, miał niepokaźną, nieprzyjemną powierzchowność i trudno przypuścić, by choćby do pewnego stopnia nie zdawał sobie z tego sprawy. Szczególnie o swej słabości fizycznej mógł się łatwo przekonać, gdy silniejsi koledzy tłukli go niemiłosiernie w dzieciństwie. Oprócz tego upośledzenia konstytucjonalnego nie brak jednak u Hitlera i drugiego ważnego czynnika, który wywarł olbrzymi wpływ na cały jego późniejszy rozwój. Chodzi mianowicie o ciężkie warunki materialne i zdecydowany brak powodzenia życiowego w okresie młodości. Ojciec prześladował go srodze za to, że nie chciał się poświęcić karierze urzędniczej, rodzice go wcześnie odumarli, zostawszy zaś w wieku lat 15 sam, zupełnie bez pieniędzy, musiał zarabiać jako niewykwalifikowany robotnik. Z artystycznych (malarskich i architektonicznych) rojeń nic nie wyszło, bo go do Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu nie przyjęto. Nie odebrawszy żadnego prawie wykształcenia uczył się na własną rękę, ale i to niczego konkretnego mu nie dało. W chwili wybuchu pierwszej wojny światowej (miał wtedy 25 lat) przymierał głodem, fabrykując w Monachium tuzinkowe akwarele. Poszedłszy z zapałem do wojska nie dokonał jednak cudów bohaterstwa. Dosłużył się raptem gefrajtra i wreszcie wylądował zagazowany i czasowo ślepy w pomorskim szpitalu. Z przerażeniem myślał o dalszym życiu, uważał się za ofiarę losu.

KOMPLEKS NIŻSZOŚCI

Tu musimy zrobić małą dygresję. Jak wiadomo z Adlera i jego psychologii indywidualnej, zasadniczym motorem ludzkiego życia jest tzw. dążenie do poczucia mocy, do władzy i znaczenia. Dążenie to, będące wynikiem pragnienia kompensacji powszechnego u ludzi kompleksu niższości, nabytego w dzieciństwie i młodości, jest w normalnym przebiegu procesu psychicznego czynnikiem bezwzględnie dodatnim, kulturotwórczym. Jednostka przez zetknięcie się ze światem koryguje swe mylne o nim wyobrażenie i przezwyciężywszy początkowe trudności dochodzi do pełnego rozwoju, „włącza się“ mniej lub więcej udatnie w społeczeństwo i zajmuje w nim jakieś stanowisko, zaspakajające ambicje. Zdarzają się jednak wypadki, że osobnik słaby z natury i napotykający na swej drodze liczne przeszkody, mające swe źródło bądź w nim, bądź poza nim, nie umie się wyzbyć początkowego kompleksu niższości, co w konsekwencji wyolbrzymia niezaspokojone łaknienie władzy do chorobliwych, maniakalnych nieraz rozmiarów. Maniacy tego typu odznaczają się albo skłonnością do samotnictwa, uciekają w sferę snów o potędze, albo też rozładowują wewnętrzne napięcie w sposób asocjalny, zbrodniczy. Chcą dojść do władzy choćby negatywnej, byle tylko nasycić swą ambicję. Ich swoisty tragizm polega przy tym na niemożności dojścia do rzeczywistego zadowolenia. Poczucie niższości towarzyszy im ciągle, czegokolwiek by nie „dokazali“.

Coś podobnego obserwujemy właśnie u Hitlera. Cała jego młodość — tak jak znalazła swe odbicie w „Mein Kampf“ — świadczy o kurczowych, lecz daremnych wysiłkach skompensowania niezwykle silnego kompleksu niższości. Wprawdzie pozornie jest z siebie wielce zadowolony, chlubi się, że o własnych siłach zdobył znaczny zasób wiedzy, nie wymagający później już żadnego uzupełnienia (!), w istocie jednak zdradza wewnętrzną niepewność, mając pretensje do „podłego losu“



Etyka i dobry przykład szły z góry. „Mój Otto otrzymał co dopiero nagrodę Himmlera. Wczoraj mianowicie osiągnął piękny rekord, denuncjując przed dyrektorem szkoły 18 swoich kolegów na 19 obecnych w klasie.“

i całego świata, że jest „bezimiennym, jednym z 8 milionów“ (podczas wojny). Ale i potem, gdy stał się już wodzem potężniejącego ruchu, gdy został führerem Wielkich Niemiec i podczas drugiej wojny światowej najwyższym zwierzchnikiem olbrzymiej armii, wciąż zmaga się ze swym kompleksem, nie dającym mu spokoju nawet w chwilach największych triumfów. Stąd nieporadność w zachowaniu się, względnie sztuczny i sztywny sposób bycia („Korsettsteifheit“) — jak to określa Blank w „Der formlose Manitou“ Nordwestdeutsche Hefte, czerwiec br.), stąd patetyczne gesty i histeryczne krzykactwo przy równoczesnym zmuszaniu otoczenia do cichego mówienia (Boldt — op. cit.), stąd też taki pozornie dziwny fakt, że Hitler przyjmując w r. 1940 w Compiègne kapitulację Francji cieszył się nie tyle z pokonania „odwiecznego wroga“, ile z pognębienia własnych generałów, którzy nie chcieli się zgodzić na jego strategiczną koncepcję, która właśnie doprowadziła do zwycięstwa. (John Wheeler-Bennett w „Foreign Affairs“, lipiec br.)

NIEUK

Hitler nie znosił zdania ludzi, o których przypuszczał, że znają się na czymś lepiej od niego, nienawidził z całej duszy intelektualistów i profesorów, ośmieszał ich i mieszał z błotem, bo czuł się wobec nich tym, czym był naprawdę, tj. nieukiem i dyletantem. Wiele czynów i pociągnięć na oko ściśle politycznych, posiadało w rzeczywistości tło osobiste, służyło do odreagowania poczucia mniejszej wartości. „W jego (Hitlera) pojęciu — pisze słusznie Grau (op. cit.) o początkach ruchu narodowosocjalistycznego — toczona walka nie była rozgrywką partii, zespołu ludzi tej samej idei politycznej..., lecz osobistą, najdosłowniej osobistą sprawą.“ Już sam tytuł książki Hitlera nie brzmiał przecież „Nasza walka“ lecz „Moja Walka“. Szczegół wielce znaczący. Na każdej z 781 stron (wyd. z r. 1939) czytamy: ja, ja, i jeszcze raz ja, prawdziwa orgia egocentryzmu. W ten sposób przeszliśmy prawie niepostrzeżenie z kompleksu niższości do kompleksu wyższości, co przy przyczynowym powiązaniu tych zespołów psychicznych, jest zupełnie zrozumiałe. Bo tak jak Hitlera nigdy nie opuściło poczucie mniejszej wartości, tak też rosła w nim — szczególnie w miarę przemian chorobowych w organiźmie — mania wielkości, której ukoronowaniem był pomysł ogłoszenia siebie bogiem po zwycięskiej wojnie. Ale to jest rzecz późniejsza. Zrazu chodzi o to, by pokazać, w jaki sposób Hitler usiłował przekonać siebie i innych o swej genialności, w jaki sposób szedł i doszedł do znaczenia.

DEMAGOG

Przede wszystkim wiadomo, że prawie każde, choćby najbardziej fantastyczne urojenie wielkości ma jakiś realny punkt wyjściowy. Takim punktem zaczepienia w walce z kompleksem niższości był u Hitlera dar przemawiania. On to, wypróbowany po raz pierwszy



Na rozkaz Hitlera — od zwycięstwa do zwycięstwa. „A teraz przemówi narodowo - socjalistyczna bohaterka Emma Katzenjammer, która w ogniu dział brytyjskich przepłynęła kanał La Manche.

na kolegach w pomorskim szpitalu, skłonił go właśnie do poświęcenia się polityce, umożliwił mu odniesienie pierwszych wielkich sukcesów. Stał się doskonałym środkiem do wywyższania się nie tylko nad szerokie masy, ale też nad znienawidzonych intelektualistów, pozwalał zapomnieć o własnym braku wykształcenia. Okazało się, że nie trzeba kończyć szkół, by odegrać rolę na forum publicznym. Można się było upajać nieprzeczuwanymi perspektywami, wykonać nagły skok z nicości na mównicę porywającego trybuna. Rzecz była tylko w tym, by się na niej utrzymać.

Stosunek Hitlera do masy słuchaczy, a później do masy narodu niemieckiego jest wysoce znamienny. Jako najczystszej wody demagog, dążący wyłącznie do osobistej chwały, używał bez skrupułu szeregu na zimno wykoncypowanych lub intuicyjnie wyczutych chwytów celem podporządkowania sobie ludzi. Głoszona idea, owa „nowa wiara“, będąca w rzeczywistości zlepkiem różnych starszych szowinistyczno-militarystyczno - antyżydowskich haseł z przymieszką sfałszowanego socjalizmu, grała w tym wszystkim drugorzędną rolę. Służyła Hitlerowi wyłącznie jako narzędzie kłamstwa i była racjonalizacją jego popędów i kompleksów. Ważna jest tu nie każdorazowa treść kłamstw Hitlera, lecz ich istota. „W każdym kłamliwym słowie Bismarcka — pisze filozof szwajcarski Max Picard („Hitler in uns selbst“ — Hitler w nas samych — Erlenbach - Zurych, 1946) słyszało się jeszcze świszczący oddech człowieka, który musiał wprzód podeptać prawdę nim do kłamstwa doszedł... U Hitlera kłamstwo jest natomiast tak absolutne, jakby prawda w ogóle nigdy nie istniała.“ Hitler kłamał w pierwszej linii dlatego, by wmówić sobie i innym swą wielkość i nieomylność. Dlaczego mu się to udało, wyjaśnia (w cyt. artykule) C. G. Jung wywodząc m. in.: „Dokładniejszą diagnozę Hitlera można by zamknąć w określeniu „pseudologia phantastica“ tj. w formie histerii, odznaczającej się osobliwą zdolnością dawania wiary własnym kłamstwom. Tacy ludzie mają z reguły przez czas pewien olbrzymie powodzenie i są z tego powodu społecznie niebezpieczni. Nic bowiem nie działa tak przekonywująco, jak kłamstwo, w które ten, który je wynalazł, sam wierzy.“

Ale kłamstwo nie było dla Hitlera-demagoga jedynym sposobem poniżania słuchaczy i wywyższania siebie. Wypracował ich w „Mein Kampf“ i stosował w praktyce cały szereg. Wyszedł przy tym z założenia, że „szeroka masa jest tylko cząstką natury... Kto masę chce sobie pozyskać, musi znaleźć klucz, otwierający jej serce. Na imię mu nie obiektywizm, więc słabość, lecz wola i moc... Szeroka masa pragnie zwycięstwa silniejszego i zniszczenia słabszego lub jego kompletnego zniewolenia.“ Tych własnych dyrektyw Hitler trzymał się ściśle. Uważał się za poskromiciela dzikich zwierząt, za giganta, którego szczytnym zadaniem jest deptać pogardzaną większość, reprezentującą małość i głupotę. Gwałtownością słów terroryzował i unicestwiał. Działał wydatnie sugestią. Ze specjalną rozkoszą obserwował, jak pod wpływem jego magicznych zaklęć prymitywne instynkty biorą u słuchaczy górę, jak nawet inteligentniejsi tracą zmysł krytyczny — jedyny czynnik zagrażający jego „wielkości“.

IMPOTENT

Użyłem przed chwilą świadomie słowa „rozkosz“, a więc pojęcia ze sfery seksualnej. Jest to — wbrew odmiennym pozorom — dziedzina nader u Hitlera ważna. Jego impotencja, nie wiadomo czy zupełna, czy częściowa, stanowiła jeszcze jedno, na pewno nie najmniejsze źródło kompleksu niższości. Jak zgodnie podkreśla kilku autorów (szczególnie Boldt i Kersten opierający się na oświadczeniu Himmlera) stosunek do Ewy Braun był „ściśle platoniczną przyjaźnią“. Z drugiej zaś strony wiadomo, że Mussolini szczycił się irytująco swymi możliwościami, wygłaszając przy lada okazji francuską maksymę „le génie c'est les génitaux“ z jawną tendencją odegrania się choćby na tym polu na Hitlerze („Pamiętniki 1939—1943“ hr. Ciano, wyd. szwajcarskie, Berno, 1947). Kto zna kulisy dziecinnej prawie rywalizacji między dwoma dyktatorami, zda sobie doskonale sprawę z ważności przytoczonego faktu. W każdym razie Hitler cierpiał poważnie z powodu swej niższości seksualnej. Wskazuje na to m. in. niezrozumiała zdawałoby się, niezwykle gwałtowna nienawiść do koni. Najchętniej byłby je kazał wszystkie powystrzelać (Kersten). Konie zaś są według psychoanalizy jednym z prasymbolów (folklor i mity!) libido. Popędy seksualne nie znajdując ujścia w normalny sposób, dążą do wyżycia się pod inną postacią. U Hitlera następowało to przez wygłaszanie gwałtownych i długich przemówień do mas (Kersten). Tego rodzaju stwierdzenie zgadza się zu-

(Dokończenie na stronie 4)

Wspominamy

Na Ziemie Odzyskane przyszedł repatriant chłop, repatriant robotnik, urzędnik i kupiec. Ale z nimi przyszedł także repatriant — poeta. Grupa lwowska osiadła przeważnie na Śląsku. Poniżej przypominamy dwóch poetów lwowskich, którzy z rąk niemieckich zginęli w czasie minionej okupacji: Stanisława Rogowskiego i Tadeusza Hollendra. Obaj należeli do najmłodszej przedwojennej generacji poetyckiej, obaj wyróżniali się wybitnym talentem lirycznym. Wspominamy ich na łamach pisma, w którym spotkało się już niejedno nazwisko lwowskie. Gdyby byli dożyli, byliby może wśród nas...

STANISŁAW ROGOWSKI

Niepowrót

Dołem wilgoć — pochyłością bez tchu można upaść
latem mokre trawy czekają
a w ogrodzie granatowa suma
pod akacją

wszędzie wieczorniały plamy: krzyże kopuły dzwonnice
przywidzenia czekają
a w ogrodzie granatowe tajemnice
pod akacją

maszerują śpiewem: o mój rozmarynie
rozwiń się ty świeżą zielenią
naszej pannie i naszej dziewczynie
dniom wczorajszym i jutrzejszym cieniom

odgłos dudnił, donosił, opadał
głowa w prawo zwrot — w lewo zwrot — na spocznij
popod nocą gwiaździstą parada
ciężki krok — prędki krok — bezzwłocznie

a gdy dołem wilgocią gdzie moczar
nieprzytomnie wytężone oczy
a jak linią strzelistą zlecieć
na zmoczone sianokosy w lecie

maszerują śpiewem; o gorzałce koniku manierce
pewnie skrycie o krzyżu walecznych
a za którymś wylotem świata sterczy
drogowskazu słup niedorzeczny

a przez ziemie: zroszone kwiaty
a poniżej: wiatr kołysze trzciną
upadają z rozmachem warianty
w dół chlupiącą rozesłany gliną

nocą grunt gliniasty obrzmiewa
a w ogrodzie granatowa suma
pod akacją
śpiewać:
o mój rozmarynie
naszej panience
w każdej stronie.

TADEUSZ HOLLENDER

Na Krecie

A na Krecie będzie spokojnie,
A na Krecie będzie po wojnie.
Miłość będzie, wino i śpiew —
Będą chwiały się czubki drzew.
— Piasek miękki przyjmie mnie miękko
Będę głaskał morzeńko ręką,
Słodka dziewczyna usta poda...
Woda, przyroda, przygoda, łagoda...
Słońce morze sobą zapali,
Fala fali poda mnie dalej —
Nic nie będzie więcej na świecie
Tylko taka wyspa poecie.
Aż się podzieję, aż się rozpłynę
Słodkim winem spoję dziewczynę
Aż rozpłynę się bezszelestnie...
Morze — weź mnie! Śmierci — weź mnie!

Płyta Nieznanego Żołnierza

Na pierś zżartą na proch iperytem,
gdzie się bagnet rdzawił jak gwóźdź —
legli ciężką wyzłacaną płytą,
twardym marszem przytłukli. Na wskroś!

Rozsypali po niebie sztandary,
dzieci rzędem wzdłuż płyty i tłum
znicz się krwawił i krwawił pożarem,
cisza rosła pod niebo — jak tum.

Salwy, wieńce, okrzyki wezbrane,
mowy, kwiaty. — Żołnierze! — och, wyjść,
krzyknąć — Milczenie! Żołnierzem Nieznanym
nigdy, nigdy nie potrafię być.
Posłuchajcie mnie bracia, co teraz
defiladą łamiecie mi pierś.
Najstraszniejsza rzecz — to umierać!
Najstraszniejsza jest — dusząca śmierć!

— Ja nie umiem być bohaterem,
ciężko na pierś z marmuru brać łom...
— A w okopach miałem wszystkie papiery,
i nazwisko... i dzieci... i dom...

— Za coś, Wrogu nieznany, czy Bracie
w piersi bagnet zębaty mi wparł,
— za coś moje nazwisko zatracił,
kiedym ziemię pazurami darł?

To przez ciebie i widzisz, przez ciebie,
Wrogu, Bracie nieznany, aż stąd
znowu kwitną chorągwie na niebie
i daleki majaczy znów front.

Aż pod taktem defilad i butów
taki wstrząśnie kolumnami szloch,
że miliony Nieznanych Rekrutów
płytę z piersi rozniosą... — Na proch!

BOGDAN BUTRYŃCZUK

Nad regionem

Jeśli się mówi o dorobku środowiska literackiego jakiegoś regionu, myśli się o całej twórczości, dokonanej w jego obrębie i jemu przede wszystkim służącej, zaś podstawą klasyfikacji bywa owa rodzimość, odmienność od wszystkiego co wychodzi poza etniczno-obyczajowe granice danego terytorium. W pewnych jednak wypadkach (dzieje się to przeważnie w jakimś historycznym okresie czasu) twórczość regionalna przekracza granice określonego terytorium i pogłębiając się sama o nowe wartości wzbogaca kulturę narodową.

Osobliwość tego zjawiska, zwłaszcza na przykładzie śląskiego środowiska, wydaje się w równym stopniu nie ulegać wątpliwości, jak i zasługiwać na pobieżne bodaj rozpatrzenie, tym bardziej, że taki właśnie proces można obserwować obecnie.

Lata poprzedzające wybuch minionej wojny zapowiedziały już pewną zmianę zasięgu i atrakcyjności twórczości literackiej, powstałej na Śląsku lub w jakikolwiek sposób z nim związanej, zapowiedziały narodziny cierpliwych talentów, poszukujących dla swej rzeczywistości nowych kształtów. Wartość „Wyrąbanego chodnika“, czy tomików poetyckich Kubisza, Baranowicza lub Szewczyka (że wymienię najbardziej charakterystyczne pozycje) można już było mierzyć siłą żywego talentu. Wojna zawiesiła realizację tej zapowiedzi na sześć lat, nie zdołała jednak jej zniweczyć. Przeszeregowanie i przewartościowanie personalne, jakie w tym czasie nastąpiło, pozwoliło, mimo dużych strat rozpocząć odbudowę życia literackiego na Śląsku niemal z tym samym natężeniem rozmachu twórczego, jaki został przerwany we wrześniu 1939 roku, ale, rzecz jasna, w całkowicie zmienionych warunkach. Nie chcę jednak omawiać udziału poszczególnych jednostek w kształtowaniu charakteru śląskiego środowiska literackiego. Chodzi mi raczej o określenie stosunku, zachodzącego między śląskim ruchem literackim a kulturą tego regionu w aktualnej rzeczywistości. Dopomoże mi w tym wynotowane kiedyś z lektury świetnego krytyka i essayisty, Ostapa Ortwina, zdanie: „Kultury nie dziedziczy się krwią, nikt jej na świat z sobą w fizycznym, czy duchowym organiźmie nie przynosi. Do kultury się dochodzi, wychowuje, dojrzewa pod ciśnieniem tych czynników, które na wytworzenie jej się składają. Jest ona wytworem poza i ponadindywidualnym zbiorowego życia, dziełem gromadnej, współdzielczej pracy i jako taka dobytkiem i własnością tej wspólnoty duchowej, z której każdy z osobna czerpiąc korzysta, a wszyscy razem twórczością swą zasilając mnożą, bogacą, rozgałęziają, komplikują i doskonalą.“ W konsekwencji Ostap Ortwin dochodzi do wniosku, że „nie ma ogólnoludzkiej kultury in abstracto — jest tylko pełna, konkretna; swoistymi znamionami ściśle nacechowana kultura danego terytorium“. Jeśli przyjmiemy tę tezę, wówczas trzeba będzie dopowiedzieć, że o rozwoju i ukształtowaniu kultury musi decydować jakiś czynnik wielkiej dla owej wspólnoty wagi. Nie wątpię, że nowy układ stosunków społecznych w Polsce i zjednoczenie całego Śląska zadecydowało o wprzągnięciu tych terenów w orbitę ogólnonarodowej myśli twórczej i w krąg kulturowy wspólny całemu narodowi.

I oto okazało się, że proces ten objął najpierw administracyjną stronę życia, w gwałtowności swej nie był odpowiednio zsynchronizowany z psychiką człowieka, który musiał najpierw wyrzucić z siebie stary świat, z jego przesądami, odmienić się wewnętrznie, przyjąć formy, narzucone mu przez obiektywną rzeczywistość i przetworzyć we własnym, subiektywnym świecie. W dziedzinie twórczości literackiej musiało również nastąpić załamanie, związane z przestawieniem myśli na nowe tory społecznego zamówienia. Nie może się to dziać szybko, ale wymaga czasu i odpowiedniej atmosfery, sprzyjającej uznaniu i przyswojeniu sobie nowych wartości i świeżych zdobyczy postępu. Dziś jeszcze — jak przed stu laty — z jakimś fałszywym wstydem mówi się o tzw. sprawach przyziemnych, o ziemi, rodzącej zboże, o handlu i przemyśle, który jest przecież naszą chlubą. Dziś jeszcze walkę o Śląsk wolimy uzasadniać testamentem Piastów i historii niż realną potrzebą dobrobytu. Czyżby bogactwo węgla tej ziemi zubożało ją w oczach tradycji? Zmieniła się rola dziejowa Polski — męczeński „bohater oręża“ musiał zrzucić zbroję i wdziać kombinezon, uczynił to, ale nie od razu pojął, na czym polega „bohaterstwo pracy“, nie idealizowane, jak dawniej, ale powszednie, szare — jeśli tak można powiedzieć — zblokowane. Przeżyły się też oklepane mieszczańskie tematy naszej literatury, tak w zasięgu narodowym jak i regionalnym, tym bardziej, że literatura mieszczańska miała raczej krótki choć bujny żywot. A przecież napływ proletariatu miast i wsi do literatury polskiej — to co Stefan Kołaczkowski nazywał „napływem barbaryzmu“, zresztą nie w znaczeniu dyskredytującym ale charakteryzującym rodzaj tej inwazji — był już przed wojną dość spory i rzeczywiście odświeżający. W ramach regionalizmu śląskiego udział proletariatu był większy niż gdziekolwiek. Toteż brak efektowniejszych — na razie — osiągnięć należy sobie tłumaczyć m. in. zmienioną i różną w stosunku do innych środowisk hierarchią potrzeb, jak również rozdrobnieniem energii twórczej, skierowanej w zbyt wielu, oderwanych od głównego nurtu zainteresowań kierunkach, dyktowany im trudnymi warunkami powojennego życia i — w wielu wypadkach — aktualnym obowiązkiem społecznym.

Dziś Śląsk domaga się piewców, którzy ukażą jego prawdziwe oblicze, którzy kulturą regionu wzbogacą rozwiązaniem nagromadzonych na przestrzeni lat zagadnieniami, którzy zwiążą jej losy z ogólnopolskim procesem społecznych i politycznych rozstrzygnięć. Nie wymaga to zerwania z regionem, bo przecież konkretyzacja odczuwań umiejscawia się zwykle we własnych rodzinnych stronach. Emocjonalna strona twórczości związana jest nierozerwalnie z regionem własnych przeżyć. Na konflikty narodu składają się konflikty poszczególnych regionów — atrakcyjność Śląska dodaje wagi jego problemom, domagającym się rozstrzygnięcia w skali ogólnej! Rzeczywistość sama wyznaczyła literaturze śląskiej poczesne miejsce, które nie powinno być dzielone na lewicę i prawicę, lecz zajęte skoordynowaną i jak najbardziej owocną pracą śląskiego pisarza.

W tej chwili najpełniejszy wyraz znalazła na Śląsku poezja. Dotychczasowe tomiki „Arkusza Śląskiego“: Jana Baranowicza, Aleksandra Widery, Aleksandra Baumgardtena, Władysławy Szkaradkówny i zapowiedź następnych: Szewczyka, Prutkowskiego, Żukrowskiego i innych wskazuje na pewną jednostronność zainteresowań i talentów. Proza Gustawa Morcinka i Jana Brzozy, jak i krytyka literacka Zdzisława Hierowskiego to zupełnie odosobnione pozycje. Wiemy jednak, że w styczniu odbędzie się w Toruniu prapremiera sztuki śląskiego pisarza, że inny poeta śląski posiada ciekawy tom opowiadań, że w druku znajdują się książki publicystyczne i niemcoznawcze, że wreszcie pisarze śląscy pełnią najrozmaitsze funkcje, luźno tylko związane z ich zawodem. Nie widzę powodów, dla których należało by przyjmować tylko jednostronne wymagania, aby tak ważne dla rozwoju kultury postulaty zostały spełnione. Śląskie środowisko literackie ma prawo domagania się odpowiedniej opieki i warunków sprzyjających rozwojowi.

Każde środowisko literackie musi posiadać pewną określoną atmosferę twórczą, czynnikiem stwarzającym ową atmosferę jest ciepły prąd zainteresowania i ciekawość nowych osiągnięć. Dobrze, że mogę zanotować wzrost zainteresowania w tej dziedzinie. To dobra wróżba. Pisarz musi być ważny dla wszystkich, jeśli ma pisać dla wszystkich, bardziej teraz niż kiedykolwiek.

Bogdan Butryńczuk.

Maski dyktatora

(Dokończenie ze str. 3)

pełnie z zasadniczą tendencją Hitlera dojścia do poczucia mocy, bo wg. Adlera nawet instynkt płciowy tłumaczy się kategoriami pragnienia wyższości. Najlepiej widać to w sadyzmie.

SADYSTA

Sadystyczne skłonności Hitlera leżą jak na dłoni, nawet jeżeli narodowo-socjalistyczną praktykę pozostawimy na uboczu. Przyrównawszy w „Mein Kampf" naród do kobiety(!) do której — mówiąc po nietzscheańsku — należy iść z biczem, wódz III Rzeszy, szczególnie w rozmowach z Rauschningiem, głosił konieczność odzyskania „czystego sumienia w okrucieństwie". Skarżył się „gorzko", że jego generałowie dostatecznie go nie pojęli, że chcą się zabawiać w rycerską wojnę, podczas gdy chodzi o to, by realizować totalne zniszczenie. „Chcę gwałtownej, heroicznej, nieustraszonej, okrutnej młodzieży... Wolne, wspaniałe dzikie zwierzę winno wyzierać z jej oczu." Jak alkoholem, którego zupełnie nie pijał, odurzał się wizją wyginienia całych narodów. Im który przeciwnik był słabszy, szczególnie fizycznie, tym więcej podniecał jego żądzę mordu (typowe dla sadysty). Obłędny antysemityzm Hitlera nie dający się, przynajmniej w tych rozmiarach, wytłumaczyć żadnymi obiektywnymi przesłankami, tu właśnie posiadał swą najgłębszą przyczynę. Niemiecki historyk emigracyjny Veit Valentin nie ma słuszności pisząc (w „Geschichte der Deutschen", Historia Niemców, Berlin 1947), że „nienawiść do Żydów należała do najgłębszych, że się tak wyrażę, najświętszych przekonań Führera. Sądził naprawdę, iż polepszy świat przez zgładzenie złych Żydów." W rzeczywistości bowiem nie chodziło tu wcale o przekonania, lecz o sadystyczny szał, o krwawą idee fixe. Jeszcze przed samą śmiercią, dnia 29 kwietnia 1945 r., gdy oddziały armii czerwonej były oddalone tylko o 500 metrów od gmachu Kancelarii Rzeszy, Hitler pragnie przekazać swemu narodowi śmiertelną nienawiść do Żydów. Ostatnie słowa podyktowanego o godz. 4 nad ranem testamentu brzmią (wg. fotokopii reprodukowanej w „Nordwestdeutsche Hefte" nr 5/6 z br.): „Przede wszystkim zobowiązuję przywódców i naród do ścisłego przestrzegania ustawy rasowej i do bezlitosnego stawiania oporu truicielom wszystkich narodów, międzynarodowemu żydostwu."

BEZ KONTAKTU Z NARODEM

To co dotychczas powiedzieliśmy udowadnia, jak sądzę, dobitnie, że Hitler realizując w wielu dziedzinach pradawne tęsknoty narodu niemieckiego i powołując się raz po raz na ten naród jako jedyny cel wszystkich swych zamierzeń, w rzeczywistości, świadomie czy nieświadomie, służył tylko molochowi swej „wielkości". Niemcy same w sobie były mu absolutnie obojętne. Rewelacyjne fakty przytacza pod tym względem kilkakrotnie już cytowane sprawozdanie Boldta oraz książka H. R. Trevor-Ropera pt. „The last days of Hitler" (Ostatnie dni Hitlera, Londyn 1947).

Gdy w lutym 1945 r. Speer zwrócił uwagę, że wojna jest definitywnie przegrana i że teraz winno chodzić wyłącznie o to, by uratować nagą egzystencję niemieckiego narodu, Hitler odpowiedział: „Jeżeli przegramy wojnę, musimy też zginąć jako naród. Zachowanie najprymitywniejszej egzystencji nie jest potrzebne. Ci, którzy wojnę przetrwają będą i tak przedstawiać małą wartość." Dnia 27 kwietnia armia czerwona posuwając się szybko naprzód, zagroziła bezpośrednio gmachowi Kanclerstwa. Wtedy Hitler decyduje się na krok, następująco opisany przez Boldta: „Bez względu na szerzący się głód i pragnienie, na wielkie żniwo śmierci chce on (Hitler) przewlec walkę. Wydaje najbardziej nieludzki ze wszystkich swoich rozkazów: ponieważ Rosjanie obeszli kilkakrotnie front wpadając przez tunele kolei podziemnej na tyły naszych żołnierzy, rozkazuje otworzyć tamy Sprewy i zatopić tunele położone na południe od Kanclerstwa Rzeszy. W tych tunelach leżały tysiące rannych. Ale ich życie nie grało dla niego żadnej roli. Potonęli do jednego." „Czy jego nieludzkość — zastanawia się w innym miejscu Boldt — była tak bezgraniczna, że pragnął możliwie dużo Niemców pociągnąć za sobą w przepaść, albo czy był tak tchórzliwy, że chciał jeno przedłużyć swe życie o kilka dni? Nigdy się o tym nie dowiemy."

Hitler stracił w każdym razie już od dawna wszelki kontakt ze swym narodem. Ostatnie lata wojny spędzał w głównej kwaterze w Prusach Wschodnich, zdala od spustoszeń i straszliwości wojny. Zburzonych miast Rzeszy nie chciał oglądać nawet na zdjęciach, nie mówiąc o tym, by pokazał się choć raz w jakiejś zbombardowanej miejscowości. Żył w coraz bardziej izolowanym świecie, w którym wojna sprowadzała się do liczb i chorągiewek na sztabowych mapach. Nieraz, gdy pilne sprawy czekały daremnie na załatwienie, oddawał się nic nie znaczącym dziecinnym zajęciom. Jeszcze w marcu 1945 r. tracił całe dni na projektowanie nowych orderów i na „genialne" planowanie przebudowy Berlina i innych miast. Była to bezsprzecznie ucieczka przed rzeczywistością i odpowiedzialnością, charakteryzująca ludzi słabych i małych, gdy realne życie nie nadaje się już do zaspokojenia ich ambicji. Popadał też w tępość i apatię zaobserwowaną już jako jedną z jego „twarzy" przez Ponceta.

„PROROK" i „BÓG"

Potem nagle to co się działo docierało do jego świadomości. Mania wielkości wybuchała jak wulkan, stawał się znów arogancki i pogardliwy. Gdy gen. Guderian odważył się dokładnie przedstawić beznadziejność sytuacji i domagał się zgody na swoje drobiazgowo wypracowane plany, Hitler krzyknął z patosem: „Nie uznaję takiej roboty głównego sztabu. Poznać zamiary nieprzyjaciół i wyciągnąć z nich wnioski może tylko geniusz, a geniusz nie zniży się nigdy do rzemieślniczej, małostkowej dłubaniny." Niby nowoczesny Neron czuł się przy tym centralną postacią jakiejś wagnerowskiej opery, przedstawiającej na scenie palącego się kraju gigantyczny zmierzch „tysiącletniej Rzeszy". W chorym umyśle przeżywał apoteozę swej boskości, ginął za cały świat niegodny takiej ofiary. Już krótko po objęciu władzy w Niemczech uważał się za wielkiego proroka, może nawet za boga (Rauschning), mającego za zadanie głosić i kształtować nową, wyższą ludzkość, której awangardą było... SS. W późniejszych latach, po wielkich sukcesach politycznych i militarnych, rozkoszował się (wg. zeznań świadków) planem ogłoszenia go nowym niemieckim bogiem. Może się spodziewał, że w ten sposób pokona nareszcie w 100 procentach kompleks niższości?

HISTERYK, MISTYK, FATALISTA

Rzeczywista małość Hitlera odbijająca jaskrawo od komediancklej pozy uwidoczniła się nie tylko w zachowaniu się przed samobójstwem i w samym sposobie zejścia ze świata, ale musiała bić w oczy obiektywnego obserwatora od dawna. To samo odnosi się do jego dyletantyzmu i nader miernej inteligencji. Podobnie jak onegiś Wilhelm II chciał się znać na wszystkim, akceptował nawet fantastyczne plany, a gdy z nich nic nie wychodziło, obarczał odpowiedzialnością innych. Tak było n. p. z produkcją samolotów. Ledwie ukończono prace nad nowym typem maszyny i miano przystąpić do seryjnej fabrykacji, wstrzymywał robotę z żądaniem niewykonalnych ulepszeń. Niektóre typy „udoskonalano" w ten sposób po kilkanaście razy". Fachowców nazywał półgłówkami a otrzymawszy nie dające się odeprzeć dowody, że jednak mieli rację, szalał z wściekłości lub wybuchał płaczem, urażony w swej dumie uniwersalnego geniusza.

Ostatecznym ratunkiem była dlań zawsze — jak już kilka razy wskazaliśmy — ucieczka. Albo w histerię, albo w apatię, albo też... w fatalistyczną mistykę specjalnego gatunku. Anglik Louis de Wohl (n. b. sam astrolog) odsłonił w dłuższym artykule (przedr. w kilku kolejnych numerach „Sie") ciekawe dane o okultystycznych praktykach Hitlera. To co Rauschning pisał odnośnie zadawania się z magią znalazło tu bliższe wyjaśnienie. Hitler studiował pilnie przepowiednie Nostradamusa i radził się przed wszystkimi ważniejszymi decyzjami swego astrologa Karola Ernesta Kraffta, pochodzącego ze Szwajcarii. Odpowiedzialne stanowiska i zadania przydzielał tylko tym ludziom, szczególnie gdy chodziło o wojskowych, o których przypuszczał według gwiazd, że w danej chwili będą mieli powodzenie. Na tle „wyroków kosmicznych" i interpretacji Nostradamusa dochodziło między Hitlerem a Krafftem do ostrych scysji. „Największy mag po wsze czasy" — jak się Hitler sam nazywał — i tu nie znosił opozycji, i tu chwalił się nieomylnością. Np. kampanię francuską przeprowadził wg. swoich „badań". Oprócz triumfu nad generałami znalazł więc niemało satysfakcji w pokonaniu nazbyt pewnego siebie Szwajcara. Miał nieprawdopodobne wprost szczęście.

WSPÓŁWINNI

Oczywiście szczęściem nie sposób wytłumaczyć wszystkich sukcesów Hitlera. Więc czym? Wydaje się, że poza zdolnością przemawiania, mistrzostwem w demagogii (Valentin), poza przesadnie akcentowaną i niesłusznie komentowaną przez historyka Meineckego („Die deutsche Katastrophe" — Niemiecka katastrofa, Wiesbaden 1946) „demoniczną mocą osobowości" dyktatora, zasadnicze znaczenie przypada tu samemu narodowi niemieckiemu a w pewnym sensie i reszcie świata. Jeżeli kilkadziesiąt milionów Niemców upatrywało w Hitlerze uosobienie swych ideałów i realizatora swych marzeń a miliony obcokrajowców nie odmawiały mu podziwu lub dawały mu się zastraszyć (nie wyłączając licznych dyplomatów w rodzaju Chamberlaina, Schuschnigga i in.), to ostateczna odpowiedzialność spada nie tyle na kwalifikującego się do zakładu czy sanatorium histeryka, lecz na tych wszystkich, którzy mu się w taki czy inny sposób podporządkowali.

Dlatego Picard ma zupełnie rację, gdy upatruje w pojawieniu się i karierze Hitlera zjawisko psychologiczne o charakterze zbiorowym. Zaiste — każdy z nas ma w sobie coś z Hitlera. „Inne narody śmiało mogą powiedzieć, że pomnik wzniesiony w Niemczech obrazował zło, które im samym nie było obce i że pomnik ten rozpadł się nie tylko jako kara dla Niemców, ale jako nauka dla innych narodów." Nie zmniejsza to naturalnie zasadniczej, olbrzymiej winy niemieckiego narodu. Ostatecznie Hitler nie wypłynął gdzieindziej, lecz właśnie w Niemczech, dzięki specjalnie sprzyjającym warunkom. Upatrywać przypadek w fakcie, że Hitler pociągnął za sobą akurat Niemców, „choć to samo mogło przytrafić się innym" — jak to czyni anno 1947 neofaszysta Aleksander Borelius („Fatum und Freiheit", Przeznaczenie i wolność, Stuttgart) — znaczy perfidnie fałszować historię. Ale to są zagadnienia wykraczające poza nasz temat.

*

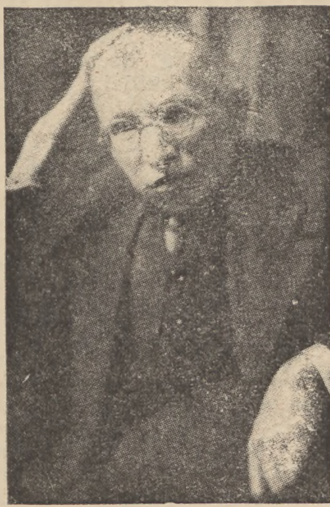
Zadanie niniejszego artykułu polegało na sportretowaniu zbrodniczego psychopaty, którego wszystkie czyny były tylko projekcją wewnętrznego, ściśle osobistego konfliktu na ekran niemieckiej i międzynarodowej polityki. Jak ten makabryczny film — monstre mógł zafascynować dziesiątki milionów ludzi i zakłócić spokój i szczęście setkom milionów — oto pytanie, czekające wciąż jeszcze na szczegółową odpowiedź ze strony wielu nauk z psychologią (narodów i tłumów), socjologią, ekonomią i historią na czele.

Egon Naganowski.

HENRYK WEBER

W kręgu

Kiedy w marcu 1932 obchodzono w Weimarze setną rocznicę śmierci Goethego a wieść o tej rocznicy rozeszła się po całym kulturalnym świecie, w wielu krajach wiedziano już, że jest to ostatni na długie lata hołd złożony geniuszowi w niemieckim kształcie. Mimo że niemieccy pisarze w tych uroczystościach goethowskich odgrywali wówczas rolę reprezentacji współczesności literackiej Niemiec, uważny i krytyczny obserwator, nie dający się uwieść patetycznym i hymnicznym przemówieniom, zauważał, że „piśmiennictwo jako duchowa przestrzeń narodu", że posłużymy się pięknym zwrotem Hofmannsthala, staje się coraz więcej tęsknotą i marzeniem, więcej niż kiedykolwiek. Zburzony był wewnętrzny porządek, rozluźnione prawo twórcze, zagubioną łączność i związek wzajemny. Czuło się już czas osamotnienia, dezercje i załamania, wyłuskiwało się gorzką prawdę spomiędzy gromadzących się napięć, które należało jednak uważać nie jako embarras de richesse, lecz jako poważny kryzys.



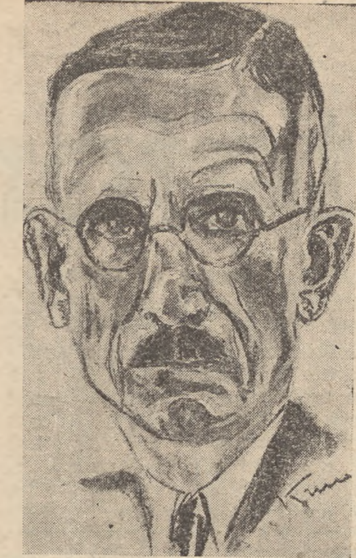
Max Hermann-Neisse, pisarz śląsko-niemiecki, który umiera na emigracji w Londynie. Poezje. Przyjaciel Gerhardta Hauptmanna.

MŁODZI 1930

W pierwszych dwóch dziesiątkach lat naszego stulecia w literaturze niemieckiej panował wszechwładnie ekspresjonizm. Po nim już nie było programu i stylu o tak powszechnej sile oddziaływania. Propagowane później takie pojęcia jak nowa rzeczowość czy realizm magiczny nie wychodziły poza swój teoretyczny niepełny najczęściej kształt i w realiach twórczości darmo byśmy szukali ich odbicia. Starsi lub więcej znani pisarze pisali, posłuszni prawom swego pochodzenia, rozwoju twórczego lub osobistych skłonności. Pielęgnowali oni formy znane a twórczość ta odbijała doświadczenia wielu przebrzmiałych już kierunków ideowo-literackich od naturalizmu począwszy. Biegły wówczas a nawet rozwijały się obok siebie takie kierunki, jak impresjonizm, neoromantyzm, symbolizm, neoklasycyzm, ekspresjonizm, wytwarzając obraz często niejasny, zamglony i zmierzwiony, ale i wielokształtny. Obok tego wielogłosowego chóru, w który wplątały się głosy pełnych indywidualności pisarskich, których dzieło i imiona, choćby później przemilczane, wciąż były na ustach generacji współczesnej, raz chóru kroczącego w towarzystwie licznych uczniów, adeptów i manierystów, pokazała się około roku 1930 nowa generacja pisarska. Przedstawiciele jej ukazywali się z początku pojedynczo, a nie poddając się wpływom jakichkolwiek kierunków lub wzorów, od razu stanowili siły czasu, z którymi można było wiązać wielkie nadzieje. Nie mieli żadnego programu, nie tworzyli żadnej grupy, nie zdobywali ostróg literackich, dzięki pewnej grupowej solidarności, kolektywnej sile krytyki polecającej, — cała ich siła polegała na posłuszeństwie wobec praw, według których rozwijał się ich talent. Wymienimy tu tylko nazwiska ciekawsze, odgrywające po wojnie pewną rolę w kształtowaniu nowej literackiej rzeczywistości Niemiec: Walter Bauer, Rudolf Baumgardt, Martin Beheim-Schwarzbach, Werner Bergengruen, Richard Billinger, Hermann Broch, Bert Brecht, Friedrich Bischoff, Günther Birkenfeld, Axel Eggebrecht, Ernst Gläser, Heinrich Hauser, Manfred Hausmann, Wolfgang Hellmert, Friedrich Georg Jünger, Erich Kästner, Hermann Kesten, Adam Kuckhoff, Elisabeth Langgässer, Joachim Maass, Peter Mendelssohn, Robert Musil, Ernst Penzoldt, Theodor Plievier, Erich Maria Remarque, Ludwig Renn, Joseph Roth, Reinhold Schneider, Herbert Schlüter, Anna Seghers, Egon Vietta, Günther Weisenborn, Carl Zuckmayer, Franz Zeise.



Gerhard Schumann, NS-Studenten i SA-Führer, oficjalny poeta Hitlerjugend, autor wielu wierszy o Hitlerze, kończący wojnę jako oficer SS. 1946 opublikował w prasie niemieckiej cykl wierszy „Przemiany". Jeden z przykładów na opanowywanie literatury niemieckiej po wojnie przez hitlerowców.



Hans Grimm, prorok „przestrzeni życiowej", autor „Narodu bez przestrzeni", powieści imperialistycznej. Dziś na czarnym rynku księgarskim książka ta osiąga ogromną cenę 800 marek.

Te początki pisarskie jednak, zanim zdążyły się rozwinąć i osiągnąć spokojną dojrzałość, rozbite zostały lub przynajmniej poważnie zahamowane przez wypadki polityczne, następujące teraz w tempie niemal błyskawicznym. Zapłonęły stosy, obłożone książkami „niepożądanymi", a na stosach tych spłonęła większa ilość książek owych młodych. W miejsce indywidualnych sporów i selekcji wprowadzono reglamentację państwową. Język, „najbardziej ludzki z wszystkich ludzkich możliwości", był już tylko frazesem. Normy oficjalnej literatury reżimu wypierały coraz więcej żywe pojęcie literatury jako spektrum indywidualnego obrazu świata, jako wyboru wolnego odpowiedzialnego sumienia, jako koniecznego wyrazu doświadczenia, jako pasji i funkcji ducha. Skutek był ten, że niemiecki świat literackich pojęć i osiągnięć (w odróżnieniu od romańskich, czy nawet słowiańskich — nie domknięty i nie utrwalony), poza zachwianiem się wewnętrznym i pewnego rodzaju zwyrodnieniem problematyki doznał jeszcze skarlenia i zaciemnienia od zewnątrz. Nowa problematyka zwężyła możliwości młodych. Literatura weszła w okres stagnacji.

KOMPROMISY

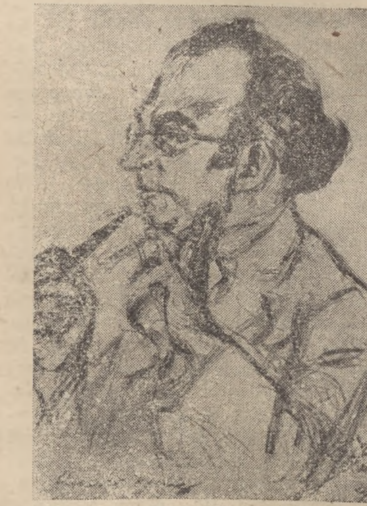
Umilkła owa bezwarunkowo potrzebna każdemu twórczemu człowiekowi wolna niezależna korespondencja duchów, sczezł odblask prądów duchowych całej epoki i całej kultury — w zwężonym korycie niemieckiego dnia. Pisarze niezdolni do kompromisów dążyć musieli do izolacji twórczej, do zamknięcia się we własnej szkatule. Spora część jednak przystała do małej grupki wierzących, rozdymając ją sztucznie za pomocą wszystkich środków, które tylko dostarczyć mógł reżim totalny.

Równocześnie — nowa „wiara" nie ogarnęła jeszcze wszystkich pisarzy, którzy zdecydowali się zostać w Niemczech — wierzono w absolutny estetyzm, próbowano zamykać się w wieżach z kości słoniowej, malując je dla niepoznaki na brązowo a rozgłaszając dzisiaj z powagą herosa, który przetrwał śmierć, że był to kolor czerwony (osobliwa zaś demokracja niemiecka skwapliwie to dziś przyjmuje). Myślano, że dostatecznym protestem będzie zamknięcie się w ramach czystej sztuki, czystej literatury; uciekano w idyliczny prowincjonalizm, potem także w przeszłość,



Bodo Uhse, jeden z pierwszych członków partii hitlerowskiej, później działacz partii komunistycznej. Bierze czynny udział w wojnie domowej w Hiszpanii przeciwko wojskom Franco. Autor „Podporucznika Bertrama".

produkując opowieści i biografie z taką pasją, że wybito piórem nawet szeregi drobniejszych figur historii świata. Pięknoduchowskie wnętrze znalazło się na czole tarczy a pokazane było nawet nieraz w dekadenckiej formie sentymentalnego kiczu. Zapomniano przy tym, że było to mijanie obowiązków, że nie miało to nic wspólnego z literaturą, a stanowiło w najlepszym razie pewien rodzaj artystycznego rzemiosła,



Arnold Zweig, którego powieści spłonęły na historycznym majowym stosie 1933. „Spór o sierżanta Griszę" krytyka hitlerowska skazała na wieczną niepamięć. Udał się do Palestyny, odmawiając powrotu do Niemiec.

jeśli nie czysty interes, w gruncie rzeczy zatem inną tylko formę duchowej prostytucji. Jeśli dziś ze wstydem mówi się w Niemczech o tego rodzaju twórczości, stanowiącej bądź co bądź rodzaj hańbiącego kompromisu i zgody z piórem, któremu okrzyk „zamilcz" wydać się mógł stosowniejszy, to dlatego, że pragnie się zapomnieć o brakach osobistej postawy u tych wszystkich pisarzy, o niedomaganiach charakteru, poetyckiej substancji i twórczego zobowiązania. Wszyscy ci pisarze, choć nie opowiedzieli się wyraźnie po stronie hitleryzmu, przez wysoką liczebnie produkcję swego uskoku umożliwili ministerstwu propagandy dokonanie optymistycznego bilansu, wyczarowującego przed narodem rzekomy rozkwit piśmiennictwa. Umyślnie nie wspominamy tu na razie o tych, którzy wyraźnie podkreślili swój związek z hitleryzmem. Niebezpieczniejsi bowiem są ci spryciarze, którzy wymanewrowywali się z bieżącej polityki podczas minionego „tysiąca" lat nowej Rzeszy. Dziś fakt ten próbują dyskontować przez prawo do przewodzenia narodowi, do twórczości szerokiej. Ta pseudoliteratura, znana nam dobrze z pierwszych okresów hitleryzmu, rozkwita w powojennych Niemczech coraz bardziej. Tych pisarzy była bowiem gwardia cała, oni nie należeli najczęściej do partii, a tylko osobiste tchórzostwo a nie przekonania pozwalało im czasem dezerterować z wojska...

INNI

Niektórzy twierdzą dziś, że wbrew swej woli i intencjom literackim znaleźli się na liście pisarzy hitlerowskich. Że jedynym ich przewinieniem był talent, tak potrzebny goebbelsowskiej propagandzie. Za takich uważa się na ogół w Niemczech, by wymienić na początek nazwiska najgodniejsze, Hansa Carossę, Stefana George'go i Gerharta Hauptmanna. Trzeba jednak przyznać, że ani jeden z nich nie protestował głośno i otwarcie jak to uczynił np Oskar Maria Graf, choć także tylko do pewnych granic. W ogóle ta grupa pisarzy, powiedzmy „innych", jest najbardziej skomplikowana w wymiarach winy i zasług, bo o tych drugich mówi się dziś najwięcej. Tu przecież znaleźli się także tacy, jak Werner Bergengruen i Ernst Wiechert, obaj znani z działalności w okresie hitlerowskim, dzięki Goebbelsowi i jego politykom literackim zdobywający sławę, uznanie i rozgłos nie tylko w Niemczech. Obaj dziś natomiast uważani są za bezkompromisowych. Tę zagadkę trzeba będzie zdaje się rozwiązać, zanim przejdzie się do oceny rzeczywistości politycznej dzisiejszych Niemiec, do wagi i potrzeby procesu denazyfikacyjnego...

Po roku 1933 ulubioną metodą pisarzy, dziś uznanych za „bezkompromisowych", było maskowanie. Wierzono, że pod taką formą torować można było jeszcze drogę prawdzie. Charakter i wartość literacka zatracały się najczęściej w tej całej zabawie a krąg oddziaływania tych maskowanych polemik ograniczał się najczęściej do godziny polityki. Późniejszy czytelnik uzna całą tę twórczość za bezrozumną. Ponieważ najważniejszą częścią tej metody, najważniejszym składnikiem tej twórczości była *inter-*



Werner Bergengruen, autor wielu powieści historycznych, w czasie wojny współpracownik „Krakauer Zeitung", po wojnie kandydat na jednego z pierwszych członków nowego niemieckiego PEN-Clubu, polecany przez T. Manna.

DAPHNE DU MAURIER

Generał Jego

V)

CZUŁAM się, jak dziecko, złapane na psocie; zrbiło mi się gorąco ze wstydu i wielkiego zmieszania.

— Wybacz mi — powiedziałam — Bardzo głupio to zrobiłam.

Jonatan milczał chwilę, a potem, patrząc na mnie z bliska, spytał:

Domyśliłaś się więc, że istnieje tajemne wejście do tego pokoju?

— Tak odparłam.

— I zjawiłaś się tutaj dlatego, że chciałaś się dowiedzieć, dokąd ono prowadzi?

— Wiedziałam, że musi prowadzić poprzez wnętrze szkarpy.

— A co podejrzewasz teraz, kiedyś się dowiedziała, że nocnym gościem tutaj jestem tylko ja, a nie nikt inny?

— Nie umiem powiedzieć, Jonatanie — odparłam — Wiem tylko, że używasz tego wejścia dla jakichś swoich celów i że twoja rodzina nic o tym nie wie.

— Skoro i tak przewąchałaś już trochę prawdy, wtajemniczę cię całkowicie, będę tylko wymagał od ciebie, żebyś to wszystko zachowała wyłącznie dla siebie.

Przyrzekłam to po chwili wahania, zastanawiając się z trwogą, do jakiego to straszliwego sekretu będę odtąd dopuszczona.

— Wiesz o tym — zaczął mówić Jonatan — że na samym początku wojny ja, wraz z kilkoma innymi panami zostaliśmy powołani przez Radę Królewską do zebrania i zaopiekowania się srebrem stołowym, które Kornwalia ofiarowała dla sprawy Króla. Srebro to miało być potem odstawione do mennicy w Truro i przetopione.

— Wiem tylko, że byłeś królewskim kwestorem. Nic więcej.

— Gdyby któryś z członków buntowniczej armii mógł dostać do swych rąk ten skarb, który teraz ciągle przepływa przez moje ręce, Parlament byłby dziesięć razy bogatszy, a Jego Król. Mość dziesięć razy uboższy. Wobec tego jest rzeczą niezbędną, byśmy w całym kraju mieli swoje składy, w których srebro mogłoby być przechowane, dopóki nie będzie można przewieźć go bezpiecznie do Truro. Oczywista rzecz, że te składy muszą być doskonale ukryte; jak najmniej ludzi powinno o nich wiedzieć. Wobec tego narzuca się samo, że domy, czy inne budowle, w których mają się mieścić składy, muszą zawierać skrytki, znane jedynie właścicielom. Menabilly ma właśnie takie miejsce ukryte, jak się już tego zresztą domyśliłaś, Szkarpa, przyległa do zewnętrznego rogu tego pokoju jest wewnątrz pusta. Przęsło wąskich schodków prowadzi wewnątrz niej do maleńkiej izdebki, wbudowanej w grubość muru, tuż pod dziedzińcem. Izdebka ta ma zaledwie 5 stóp kwadratowych, ale można tam swobodnie stać i siedzieć. Stamtąd wychodzi korytarz, czy raczej tunel, który przebiega pod całym domem, a potem pod wałem otaczającym ogród, aż do letniego pawilonu. W tej właśnie izdebce wewnątrz szkarpy ukrywam teraz srebro. Wszystko jasne?

Skinęłam głową, pochłonięta opowiadaniem i do głębi zaciekawiona.

— Przynosząc srebro do tego składu, względnie wynosząc je stamtąd — ciągnął dalej Jonatan — pracujemy zawsze nocą, we dwójkę z moim rządcą, Janem Langdon. Wozy czekają na dole, w Pridmouth, a my, z pokoiku w szkarpie przenosimy srebro tunelem do pawilonu, stamtąd małym wózkiem ręcznym nad samą zatokę, gdzie dopiero ładuje się je na wozy.

— To naprawdę cudowne zrządzenie losu, że Menabilly posiada tak znakomitą kryjówkę — powiedziałam, zachwycona.

— Tak, rzeczywiście. Gdyby jej nie było, sam nie wiem, jak bym sobie dał z tym wszystkim radę. Dziwisz się pewnie, w jakim celu dom został tak zbudowany.

Przyznałam się istotnie do niejakiego zdziwienia.

— Mój ojciec — wyjaśnił Jonatan — miał pewne... jakby to powiedzieć... transakcje okrętowe, które wymagały dyskrecji. Ten tunel był więc, jak widzisz, użyteczny w różnych okazjach.

„Innymi słowy" rzekłam sobie w duchu „twój ojciec, drogi Jonatanie, nie był niczym więcej jak piratem pierwszej wody, jakie by tam nie było jego stanowisko i reputacja w Fowey i okolicy".

— Wrócisz teraz do swego pokoju — rzekł Jonatan — A ja wrócę tą samą drogą. Możesz mi dać klucz Jana Langdon. A jeżeli kiedyś w przyszłości usłyszysz, że przyszedłem do tego pokoju, będziesz już wiedziała, co tam robię. Mam tu dokładne spisy skarbu, który jest chwilowo w moich rękach i czasami muszę w nich trochę poszperać. Nie potrzebuję ci chyba mówić, że ani słowo o tym, co zaszło między nami dzisiaj w nocy nie może się dostać do czyichkolwiek uszu.

— Przyrzekam ci uroczyście, Jonatanie — powiedziałam.

Essex i armia zbuntowanych gromadzili się w wielkiej sile nieustannie i czuliśmy, że przejście ich przez Dorset do Devonu jest zaledwie kwestią tygodni. Gdyby się to stało, już tylko Tamar dzieliłby ich od Kornwalii. Jedynym człowiekiem, który z ulgą oczekiwał nadchodzących zmagań, był Ryszard.

— Jak się nam tylko uda wciągnąć tego dziada do Kornwalii, której zupełnie nie zna i której wąskie dróżki i wysokie żywopłoty zmylą go zupełnie, to zwycięstwo już mamy w kieszeni. Wojska Króla i Ruperta obejdą ich od tyłu i odetną im odwrót, a my ich otoczymy i zniszczymy całkowicie.

Pamiętam, jak zacierał ręce z radością i śmiał się do swych projektów, jak chłopiec na myśl o wakacjach. Jonatanowi jednak niezbyt się podobał jego plan.

— Czy będziesz mógł z zimną krwią patrzeć, jak Kornwalia, oddana będzie na pastwę grabieży, jej mieszkańcy pozbawieni dachu nad głową i nieobliczone cierpienie i męka panoszy się w całym kraju? Nie wydaje mi się, żeby ten plan był wygodny.

— Niech licho porwie twoją wygodę — odparł gwałtownie Ryszard — Doskonale zrobi moim kochanym rodakom, jak zobaczą odrobinkę rozlewu krwi. Jeżeli nawet tego nie możecie ścierpieć dla sprawy Króla, to może lepiej od jutra przystąpimy do układów z nieprzyjacielem.

Trochę później Ryszard wyjechał ze mną na przejażdżkę po grobli, podjąwszy się obowiązków mego opiekuna i pomocnika.

— Jeżeli Essex podsunie się pod Tavistock — powiedział do mnie — i będę zmuszony odstąpić od oblężenia Plymouth i wycofać wojska, czy będę mógł oddać ci mego syna pod opiekę?

— No jakże! Naturalnie, jeśli tylko uważasz, że będzie mu dobrze ze mną.

— Myślę, że z tobą będzie mu lepiej, niż z kimkolwiek innym na świecie.

— Czy rozmawiałeś o tym z Jonatanem?

— Tak. On nie ma nic przeciwko temu. Ale zastanawiam się nad tym, jak ty tu sobie dasz z Dickiem radę. To oporny wychowanek.

— Pokocham go z pewnością, Ryszardzie, bo to twój syn.

— Wątpię w to czasem, kiedy na niego patrzę. Ma w obejściu coś tak nieśmiałego, jest jakoś dziwnie cofnięty w sobie. Mówił mi jego wychowawca, że płacze o głupie zadrapanie palca. W każdej chwili zamieniłbym go na Joe Grenvile'a, jednego z mych krewnych, który jest moim adiutantem w obozie w Buckland. To chłopak, jakich lubię, tak, jak i najstarszy syn Bevil'a.

— Dick'owi idzie dopiero czternasty rok — rzekłam mu na to — Nie powinieneś zbyt wiele od niego wymagać. Poczekaj z rok, albo dwa, niech się nauczy mieć do ciebie zaufanie.

— Jest teraz w najgorszym wieku, jak dla mnie — odparł Ryszard — Za duży, żeby się z nim cackać, a za mały, żeby mu można przemówić do rozsądku. Począwszy od dziś, on do ciebie należy, Honorato. Postanowiłem przywieźć ci go już od dzisiaj za tydzień.

Siedziałam właśnie w ogrodzie, który otoczony był wałem, kiedy nagle zaskrzypiała furtka i jakiś nie znany mi chłopiec ukazał się na trawniku. Szedł w moim kierunku.

Był wyższy, niż przypuszczałam; płomienne pukle Grenvile'ów okalały mu twarz, a w zuchwałym zadarciu nosa i buńczucznym wzięciu miał coś, co mi natychmiast przypomniało Ryszarda. Ale kiedy zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że się myliłam.

— Jestem Joe Grenvile — powiedział — Przysłali mnie tu z domu, żebym tam Waszą Miłość sprowadził. Mieliśmy w drodze małą przygodę. Biedny Dick spadł z konia, kiedyśmy ściągali cugle w dziedzińcu... kamienie były trochę śliskie... i zranił się w czoło. Zabrali go do pokoju Waszej Miłości, a służebna zmywa mu krew.

Spotkałam Matty, wychodzącą z mego pokoju z miską wody i paskami bandaży, przewieszonymi przez rękę.

— Bardzo się potłukł? — spytałam.

— Przede wszystkim okropnie się boi — odparła Rozleci się w kawałki, jak tylko Wasza Miłość na niego spojrzy.

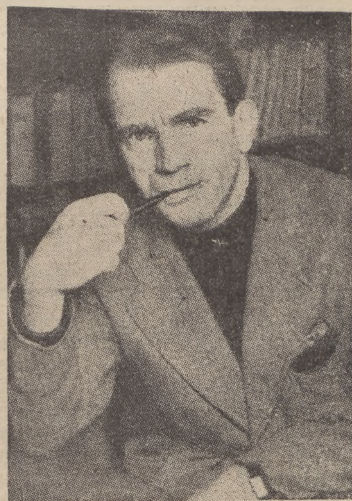
Bledziutki chłopaczek siedział zgarbiony w fotelu przy kominku. Miał ogromne, czarne oczy i gęste, ciemne loki, a bandaż, któ-

reliktów

pretacja, wielu pisarzy, którzy w owym okresie byli nawet po stronie hitleryzmu, żegluje w dzisiejszą rzeczywistość niemiecką pod heroizującą flagą tej twórczości. I tak nawet u takiego zdecydowanego zwolennika hitleryzmu, militarysty i rasisty, jakim jest Jünger, przychylna krytyka odkryła dziś alegoryczne potyczki z Hitlerem i hitleryzmem, staczane w powieści „Rafy marmurowe“. Liczba tych wszystkich bohaterów wzrasta z dnia na dzień, a krytyków mających zdolność takiej pomyślnej interpretacji przybywa; odnosi się w ten sposób nawet wrażenie, że stanowisko tego rodzaju krytyka jest po prostu dobrze płatną posadą, interesem niemieckiej epoki.

EMIGRANCI

Z tych szkicowych obrazków łatwo już zauważyć, jak zróżniczkowana była sytuacja twórców literackich w Niemczech lat owych i jak trudno wyjaśnić tamtą konstelację literacką za pomocą wątpliwego pojęcia emigracji wewnętrznej. Emigracja zewnętrzna jest tutaj pojęciem konkretniejszym i realniejszym. Pisarze, którzy na tę emigrację się udali, zatracili wprawdzie związek z narodem i ojczyzną, z czytelnikami, a nawet z kulturą, z której czerpali siły twórcze i inspirację, ale uratowali wolność życia osobistego i wypowiedzi. Wielu, mających skłonności asymilacyjne, utonęło w innym narodzie, do takich należy przede wszystkim Tomasz Mann, Erich Maria Remarque, Alfred Kerr, Emil Ludwig. Inni, którzy tęsknili za powrotem, nie posiadali najczęściej musu, który jest nie-



Günther Weisenborn, dramaturg, autor „Nielegalnych“, główny szermierz mitu ruchu oporu. Jeden z czynniejszych organizatorów niemieckiego życia literackiego po wojnie.

Aleksander Lernet-Holenia, członek hitlerowskiej Izby Piśmiennictwa Rzeszy, ale i częściowo na indeksie hitlerowskim. Autor poematu „Germania“, rozprawiającego się z wielką odwagą z epoką hitlerowską i z mitem niepokonanej Rzeszy.

odzowny do powstania rzeczy trwałych, rozdrabniali się też w refleksji, w nostalgii lub restaurowaniu przeszłości przy pomocy skargi i oskarżenia. W ten sposób również i ci poddawali się stagnacji, znaleźli się w izolacji, a twórczość ich na ogół nie rozwijała się.

Tylko wielcy, stojący u szczytu swej twórczości, mogli kontynuować swe dzieło według praw własnego rozwoju. Tu wspominają Niemcy takie dzieła, jak Tomasza Manna wielką powieść o Leverkühnie, Henryka Manna „Henryk IV“ i autobiografię Stefana Zweiga wielkie studium o Balzaku i wspomnienia, Brunona Franka „Cervantes“, Werfla „Pieśń o Bernadette“, Berta Brechta lirykę. Z młodych, którzy wystąpili koło roku 1930, Robert Musil dał trylogię „Człowiek bez właściwości“, Hermann Kesten powieść historyczną „Ferdynand i Izabella“, wreszcie wiele wartościowych dzieł Joachim Maass, Josef Roth, Carl Zuckmayer, Anna Seghers.

Obok nich występują najmłodsi, przed 1933 zupełnie jeszcze nieznani, jak Edward Claudius, Hans Habe i Artur Koestler.

Jeśli przeliczymy jednak ilość emigrantów i ich publikacji, również i ten rachunek przekaże nam tylko niewielką ilość dzieł, które mogłyby stanowić zasadnicze wartości literatury teraźniejszej.

To są fakty. Konstatują je nawet niektórzy rozsądniejsi Niemcy. Dzięki nim zrozumieć można jedynie dzisiejszą sytuację literatury niemieckiej. W niektórych kołach niemieckich emigranci są nietykalni, każda najdrobniejsza książka, powstała na emigracji, uznawana jest za świętość nie tylko narodową, ale i artystyczną. Osobiste przeżycia i pasje emigrantów mogą po ludzku wzruszać, mogą stanowić klucz do psychologii literatury, w sensie rzeczowym, jednak są bez znaczenia. I tu oddziela się plewy od ziarna a tylko szlachetna mniejszość, na tle obrazu całych Niemiec drobna jak pył przydrożny, nie przeminie.

W KRĘGU RELIKTÓW

Po upadku III Rzeszy, jeszcze w chaosie okresu przejściowego spotkały się dwie rozrosłe w przeciwnych kierunkach gałęzie literatury niemieckiej. Mogła ona nareszcie pójść bez przeszkód w kierunku wielkości. Rzeczywistość jednak wygląda inaczej. Znakiem i stygmatem dzisiejszej epoki niemieckiej jest kupa gruzów. Prowincjonalne zwężenie i ignorancja oto znamiona duchowego żywota współczesnych Niemiec. Nie ma ucieczki z izolacji, gdy brak jest prawdziwego umoralniającego, wychowawczego programu, lub inaczej: gdy tych programów jest tak dużo, że powrót do hitleryzmu jest powrotem do jasności. Jest rzeczą pewną, że nie uda się spotkanie w miejscu, w którym 1933 rozchodziły się drogi pisarzy. Powiedziano gdzieś w Niemczech mądre zdanie: *przeraźliwa pustka stoi wokół pisarzy,* ziewająca pustka, bezbrzeżna i beznadziejna.



Ricarda Huch, sędziwa przedstawicielka neoromantyzmu niemieckiego, należąca do nielicznej grupy największych pisarzy niemieckich doby współczesnej, próbowała się wiązać z epoką powojenną. Przewidziana na stanowisko prezesa niemieckiego PEN-clubu. Zmarła 17 listopada 1947 r.



Theodor Plievier, powieściopisarz, autor „Stalingradu“, którego zmiana miejsca zamieszkania (Berlin na Monachium), dokonana w listopadzie br., stała się przedmiotem wielu plotek, dyskusji prasowych i zarzutów politycznych.

Obok kilku działających jeszcze twórczo starszych horyzont literacki opanowali młodzi z roku 1930. Ale nie jest to już młodzież burząca się, wielu z nich to już staruszkowie. Udział generacji najmłodszej jest niewielki. Wygląda, jakby pragnęła ona — o ile oczywiście w ogóle istnieje — odczekać pewien okres. W ten sposób współczesna literatura niemiecka może się wykazać wprawdzie wielką ilością sztuk teatralnych, ale nie posiada ani jednego dramatu, chlubi się wieloma nowelistami ale nie ma wśród nich ani jednego wielkiego powieściopisarza lub epika; najlepiej jeszcze wygląda liryka, owa najbardziej osobista forma wypowiedzi poetyckiej, której widnokrąg zapełnił się nowymi postaciami. Nikt nie czyni eksperymentów formalnych, których taka rozmaitość objawiła się po pierwszej wojnie światowej. Tematy obracają się wokół rzeczy wielokrotnie już opisanych. Nigdzie nie czuje się świeżego oddechu nowego początku. Zgodny chór koniunkturalnych krzykaczy zaopatrzony w silne struny głosowe, u bezkrytycznego i pozbawionego smaku czytelnika łatwo wymodli laur poetycki.

Dziś tak samo jak w roku Goethego przepływają obok siebie bez związku i potrzeby historyczne już style i kierunki. Dziś tak samo jak wówczas tworzą nieliczne suwerenne jednostki i generacja, która około 1930 zgłosiła się po słowo. Pojedynczo już tylko i bez tej siły, która cechuje młodych, pojawiają się najmłodsi, zjawiska najczęściej bezbarwne, bez nadziei na przyszłość. Co zaś do ukazujących się książek — a ukazują się wcale licznie — to przeważają wśród nich stare skarby, podawane bez jakiejkolwiek polityki kulturalnej, kapitał szabrowany już przez niejedną generację. Z trudnością tylko można się pozbyć uczucia, że *stoimy w muzealnym, makabrycznym świecie pozorów.*

„Piśmiennictwo jako duchowa przestrzeń narodu“ jest w Niemczech niewidoczne. *Niemcy dzisiejsi nie mają literatury, mają tylko relikty, fragmenty i niepozorne zalążki.*

W ten sposób obraz, który tu przedstawiliśmy, jest odzwierciedleniem katastrofalnej niemieckiej epoki. Cały chaos czasu niemieckiego jest w nim zawarty. Również i dziś postać Goethego, którego dwuchsetletnia rocznica urodzin obchodzona będzie wkrótce w całych Niemczech, jest postacią samotnika nawołującego do opamiętania, grożącego czasom i ludziom, które były wczoraj. Magia ducha i słowa, połączonych w jeden związek, nieznana jest w Niemczech powojennych.

W interesie Europy leży, by naród niemiecki otrzymał literaturę zdrową, świadomą sytuacji narodu, dążącą wszystkimi środkami ducha i wyrazu do odbudowy człowieczeństwa w narodzie niemieckim.

Henryk Weber.



Ernst Toller, pisarz komunistyczny, skazany za udział w tworzeniu monachijskiej republiki rad na pięć lat więzienia. Autor dramatu obozowego „Pastor Hall“, wystawionego 1946 w Berlinie. 1939 popełnił samobójstwo na emigracji w St. Zj.

JAROSŁAW ROGALA

Drewniane dokumenty

Wykwintna rzeźba

Szosa z Trzcińska-Zdroju do Chojny n. O. — prawie nad Odrą dla ścisłości, bo o dobrych kilkanaście kilometrów — jest niemiłosiernie odarta z asfaltu, tędy bowiem w Styczniowej Ofensywie 1945 r. przeszły nieprzeliczone czołgi i samochody, wszelki sprzęt, wszelka chropowata, często gąsienicowa, stopa.

Licznik naszego „Willysa“ tańcuje więc wokoło 30-tki mil.

...nagle z brzegu drogi miga, do rowu już zepchnięty, czołg: polska barwa, biały orzeł, wzrok chwyta duży numer 8. Pamiętam, że podobny z numerem 1 stoi unieruchomiony o wiele bardziej na wschód, we wsi Dalewo przed Stargardem. Więc to dalszy ciąg szlaku Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte. Lufy tych czołgów wskazują na Berlin.

Kilometr dalej za wioską ciągnie nam na spotkanie wóz żniwny. Ale tylko pół jego —. Dlaczego?

O jakie 500 m dalej wyjaśnia się zagadka. Leży kupa jęczmiennych snopków. Chłop zgubił pół wozu, który, widać, przeładował swym dobrym, jarym plonem. Kłosianego zwaliska pilnuje chyba dziesięcioletni chłopiec w brudnej wojskowej czapce. Pewno to syn osadnika wojskowego, jak większość nad Odrą.

Jest czego pilnować: import duńskiego ziarna siewnego był bardzo udany.

Przez Chojnę tylko przelatujemy. Pilno nam. W ruinie miasta sterczą częściowo nadbite, 6 wież z dawnych murów obronnych pokrzyżackich czy po-brandenburskich. Ta, pod którą przejeżdżamy, tzw. Brama Świecka, jest potężna i, prócz głównego trzonu wieży, ma cztery mniejsze wieżyczki po rogach. Warto się obejrzeć. Kto wie, czy architekt, który budował wspaniały gmach na „Regierung“ w Szczecinie — a w końcu na obecny Urząd Wojewódzki na Wałach Chrobrego — kto wie, czy nie z tej wieży wziął natchnienie do wymodelowania głównej wieżycy wojewódzkiego gmachu.

Spieszymy, jakby nas goniła klątwa, którą gdzieś w XIV wieku rzucił Ojciec Święty na mieszczan Königsbergu (Chojny) w Marchii, za jakieś tam, prawie niepamiętne dziś, bezeceństwa i samowole.

Z prawa jezioro. Wioska: Mętno. Pola gromadzkie ścielą się na pagórkach. Na majątkach i ścierniska i ugory są o wiele szersze.

Wpadamy do wsi Orzechów i stąd widać Odrę! Za nią brzeg jest niemiecki!

Pagórki identyczne, ku rzece łagodnie podane. Gdyby wziąć dobrą lornetkę, widziałoby się życie za rzeką. Może oni tak samo oglądają polską stronę, wypatrują...

Jadą w tych dniach traktory w to miejsce. Niech patrzą Niemcy, że przemagamy pustynię, którą nam zostawiono. Pójdą ciągniki z pługami od Orzechowa w dół, wzdłuż tego drogowskazu: ku Cedyni...

Więc to tu było! Chyba tu...

Cedynia — Cedzyna. Rok przełomowy 972. Mieszko I, niedawno ochrzczony książę Polan, w walce swojej o wcielenie Pomorza do Polski, blisko tego miejsca miał swój wielki dzień. Dotąd ważyły się losy przynależności tego kraju — przecież ku tej stronie parł już podstępny margraf Gero, morderca słowiańskich książąt, z tej ziemi Mieszko usiłował kompromisowo czas jakiś płacić trybut Cesarzowi, tu wówczas — zapewne przeciwny tym dobrym stosunkom z najwyższą ówczesną władzą świecką — wdarł się następca Gerona, margrabia Hodo.

Zygfryd, ojciec kronikarza Thietmara, który nam te wiadomości przekazał, jako świadek naoczny, szczęśliwie uszły z życiem, tak synowi swemu opowiadał: Hodo, czcigodny margrabia, napadł na Mieszka, wiernego cesarzowi i płacącego trybut...“

...przeprawili się więc Niemcy — napastnicy jak zawsze — przez Odrę na północ od Cedzyny. Przebiegły Mieszko — wojownik uchodzi, wciąga wroga w upatrzoną, zapewne dobrze wybraną, matnię. Przecież zna ten teren. Idą w górę Odry ku Warcie i w tej to stronie Mieszko odwinął się! Klęska Niemców była bardzo ciężka. Odtąd Państwo Mieszka rozciąga się wzdłuż brzegu Morza ku ujściu Wisły. To właśnie Państwo Mieszko - dyplomata ofiarowuje potem Stolicy Apostolskiej, sławnym dokumentem z r. 990, którego streszczenie odnaleziono w watykańskim „Collectio canonum“ kardynała Duesdedita. Tu więc, wśród tych pagórków, gdzieś blisko obecnej Cedyni, tak dawno temu rozstrzygnęły się losy granicy „wzdłuż morza“.

Jakież to jest interesujące, że tędy, powyżej ujścia Warty do Odry, wbijano niegdyś germański klin w lechicki monolit, a tąże samą drogą, tylko w odwrotnym kierunku, w ramach wielkiej ofensywy zimy 1945 r. uderzały na Berlin właśnie polskie czołgi.

„Drang nach Osten“ prawie tysiąc lat doniesiony aż dotąd, załamywał się w wielkich zmaganiach końcówki II wojny światowej w tych samych nieomal miejscach. Wieczność tego szlaku wojennego mówi do nas urzekająco rykiem dział, warkotem samolotów i chrzęstem czołgów, w których słychać także dalekie echo rogów i nawoływań mieszkowych wojowników, nagle z odwrotu rozmachujących się w zwycięstwo!

Zarówno przebrzmiały świst strzał i szczęk broni białej, jak świeży jeszcze warkot pocisków i motorów, jak chrzęst gąsiennic i płyt pancernych — decydowały o morskiej rubieży Państwa Polaków.

Od tamtego zwycięstwa do tego płonęło prawie 10 wieków walki.

I tym razem z odwrotu odwinęła się Słowiańszczyzna!

Mijamy małe miasteczko, gdzie kościół na wzgórku i cmentarzyk sowiecki jest na pochyłym rynku przed Zarządem Miejskim, gdzie mieszka wśród uszkodzonych ulic coś tylko 312 mieszkańców i bodaj 20 koni, trochę bydła i więcej nierogacizny.

Zaraz za domami rozciąga się rozlewisko. Musiał to być widok pełen grozy, gdy na tłumy ofensywy wypuszczono Odrę ze śluz! Potworna, rozpędzona woda zalała, podobno, dwie nacierające dywizje sowieckie. Ludzi i sprzęt dramatycznie przykryła woda. Coś 7000 ha łąk i pól dotąd stoi tu pod wodą. Poległych topielczą śmiercią lądowego żołnierza wyławiano potem, gdy rzeczny prąd wyrzucił ich na brzeg. Leżą tam na lewo w lesie, na pogórku.

Straszna to musiała być chwila.

Rwąca woda, silniejsza niż potęga ognia dział, wyższa niż czołg, potężniejsza niż najtęższy sztab.

Spokojnie teraz leży ta szarawa woda, obżarta żelastwem i ludźmi...

Ryby tu — ludojady... Nie łowiłbym tutaj...

(Dokończenie na str. 6)

Sukces »Dwóch Teatrów« w Brnie

W Czechosłowacji budzi coraz to większe zainteresowanie powojenna sztuka polska. Wyrazem tego jest sukces, jaki zdobyły na deskach brneńskiego Svobodneho Divadla „Dwa Teatry“ J. Szaniawskiego. Była to pierwsza powojenna sztuka polska, grana w „prowincjonalnym“ teatrze. Sztukę opracował znany brnieński reżyser i aktor Rudolf Walter, który wraz z córką zamierza w najbliższym czasie przybyć do Polski. Walter interesuje się żywo naszym życiem teatralnym na Śląsku i na Ziemiach Odzyskanych. Jego córka, Olga,



Scena z „Dwóch Teatrów“ w Brnie (Rudolf Walter i J. Dadek)

jest autorką szeregu prac na temat słowiańskiego teatru oraz szczerą entuzjastką zbliżenia polsko-czechosłowackiego. W czasie zorganizowanego w ub. miesiącu tygodnia przyjaźni polsko-czechosłowackiej Svobodne Divadlo urządziło specjalne przedstawienie „Dwóch Teatrów“ bawiącego podówczas w Brnie zespołu Teatru Wojska Polskiego z Łodzi. Z prawdziwym wzruszeniem oglądaliśmy pierwszą powojenną sztukę polską na deskach bratniego teatru. **(-alk-)**



„Dwa Teatry“ w Svobodnym Diva dle w Brnie (Rozsival i Hankowa)

Tłum. MAŁGORZATA STANISŁAWSKA

Królewskiej Mości

rym miał owiniętą głowę pogłębiał jeszcze jego bladość. Wlepił we mnie oczy, gryząc paznokcie.

— Lepiej ci już? — spytałam cicho.

Wytrzeszczał na mnie oczy jeszcze przez chwilę, a potem, z dziwnym szarpnięciem głową rzekł:

— Czy on już poszedł?

— Kto taki?

— Mój ojciec.

— Tak, odjechał już do Launceston razem z twoim kuzynem.

— Kiedy wróci?

— Nie wróci już wcale. A ty masz na razie zostać tutaj. Nie mówił ci, kim jestem?

— Wasza Miłość jest chyba Honoratą. Powiedział mi, że mam być z pewną panią, która jest bardzo piękna.

* * *

Od tego dnia Dick stał się mym cieniem. Wczas rano zjawiał się niosąc mi śniadanie. Nie była to dla mnie nigdy najlepsza pora dnia, ale że Dick był synem Ryszarda, musiałam go znosić.

— Dlaczego sobie nie pobiegasz i nie bawisz się w ogrodzie? — spytałam go pewnego dnia.

— Wolę być przy Waszej Miłości — odparł.

— Zawojowała go ciocia zupełnie — rzekł Joan. — Trudno się teraz będzie od niego uwolnić. Biedna ciocia Honorata! Cóż za ciężar musi teraz dźwigać aż do końca życia!

Jakoś mnie to jednak nie przerażało. Jeżeli Dick był przy mnie szczęśliwy, o cóż innego mogło mi chodzić? A jeśli mogłam ofiarować choć odrobinę poczucia bezpieczeństwa temu biednemu, samotnemu sercu, tej spłoszonej duszyczce, miałam prawo sądzić, że dni moje nie upływają na darmo.

Tymczasem zaś wiadomości z zewnątrz stale się pogarszały. W pięć dni po przyjeździe Dicka gruchnęła wieść, że Essex wkroczył do Tavistock i że nasi odstąpili od oblężenia Plymouth. Ryszard wycofywał wojska w kierunku mostów na rzece Tamar.

Tego samego dnia odbyło się w Tywardreath zebranie okolicznej szlachty, któremu przewodniczył mój szwagier. Uchwalono jednogłośnie, że trzeba natychmiast zebrać wszystkich mężczyzn i całą broń i amunicję, jaka tylko jest zdatna do użytku i udać się do Launceston, by wesprzeć obrońców zagrożonego kraju.

Następnego rana wszyscy mieszkańcy dóbr mego szwagra, zdolni do noszenia broni, przedefilowali przed nim konno, z tornistrami pięknie przytroczonymi do siodeł. Byli tam nawet najmłodsi spośród służby domowej i wszyscy chłopcy stajenni. Janek miał zostać w domu, obarczony sążnistymi instrukcjami. Patrzyliśmy potem, jak ten dziwnie wzruszający oddziałek niknie między drzewami parku. Parobcy wywijali strzelbami, tak, jakby to były widły, co z pewnością bardziej było niebezpieczne dla nich samych, niż dla nieprzyjaciela.

My zaś w Menabilly udawaliśmy, że żyjemy sobie dalej tak, jakby się nic nie było stało i jak byśmy się nie spodziewali żadnych przeciwności ze strony losu. Ale pomimo to czujność i napięcie wewnętrzne nie opuszczały nas ani na chwilę. Wszyscy nieustannie nadstawiali ucha, czy nie dobiega skądś huk wystrzałów, albo tętent koni.

Któregoś dnia przed południem jakiś jeździec wpadł z hałasem na wewnętrzny dziedziniec, a chociaż od stóp do głów okryty był grubą warstwą kurzu, poznałam w nim odrazu młodego Joe Grenvile'a.

— Wiozę wiadomości dla Jejmość Panny Harris — rzekł, nachylając się z konia.

W gardle mi zaschło w jednej chwili i dłonie mi zwilgotniały.

— Z pewnością go zabili — pomyślałam, truchlejąc.

Ale już zewsząd posypały się pytania: — Co z bitwą? Jak tam w polu? Co robią rebelianci? Co się dzieje?

— Przed nocą Essex będzie już w Bodmin — odrzekł Joe krótko. — Stoczyliśmy niedawno potyczkę z brygadą Lorda Robartes, pod Lostwithiel. Lord Robartes zawrócił teraz z drogi, by się połączyć z Essex'em. A my cofamy się spiesznie ku Truro. Sir Ryszard chce tam zgromadzić jak najwięcej wojska.

— Essex w Bodmin?! okrzyk trwogi przebiegł wśród zebranych. Ja natomiast drżącymi palcami rozdzierałem kopertę listu od Ryszarda. I oto, co przeczytałam:

„Przynęta pięknie tkwi na haczyku, a biedna, zwiedziona rybka otwiera jak najszerzej gębę, żeby ją połknąć. Essex będzie dzisiaj w Bodmin, a najprawdopodobniej jutro rano będzie już w Fowey. Głównym jego doradcą we wszystkich sprawach jest ten ordynarny głupiec Jack Robartes. Przed niedawną chwilą miałem właśnie niewymowną przyjemność splądrować doszczętnie jego rezydencję w Lanhydrock. Połkną oni na pewno przynętę, haczyk, wędkę i samego rybaka. Ruszymy na ich spotkanie z Truro, a Jego Królewska Mość, Maurice i Ralph Hopton uderzą na nich od wschodu. Król Imć posunął się już pod sam Tavistock, zanosi się więc na to, że złowimy rybkę w sposób najbarbardziej efektowny. Ponieważ najbliższa przyszłość przedstawia się dla Menabilly niezbyt przyjemnie, najlepiej będzie, jeśli odeślesz mego syna z powrotem do mnie. Joe otrzymał ode mnie instrukcje w tej sprawie. O ile możności nie wychodź ze swego pokoju, Najukochańsza i nie bój się niczego. Przybędziemy ci z odsieczą, jak tylko to będzie możliwe.

Oddany ci sługa —
Ryszard Grenvile“.

Ukryłam list w sukni i zwróciłam się do Joe'go.

— Co macie zamiar zrobić z Dick'iem? — spytałam.

— Sir Ryszard postanowił odesłać go łodzią rybacką do St. Mawes, jeśli tylko zdołamy dojść do porozumienia z rybakami w Polkerris. Będą mogli cały czas jechać blisko brzegu, a jak tylko uda się im okrążyć Dodman, to dalej już jazda jest krótka i łatwa. Mam tu przy sobie pieniądze, żeby rybakom zapłacić.

— Kiedy odjazd?

Bez zwłoki. Drogi już są zawalone ludnością, która ucieka przed wojskiem Essexa. Wszyscy zdążają na zachód. Tylko co nie widać nieprzyjacielskiej kawalerii w okolicy.

Przypadło mi więc w udziale zaniesienie przykrej wiadomości memu cieniowi.

— Dicku — rzekłam mu — Chcę, żebyś się okazał dzielnym i rozsądnym chłopcem. Do jutra już cała okolica będzie w rękach nieprzyjaciela. Zagarną i Menabilly. Twój ojciec uważa, że nie powinni cię tu zastać i wobec tego postanowiliśmy razem z Panem Rasleigh wysłać cię do St. Mawes, gdzie żadne niebezpieczeństwo nie będzie ci już groziło.

— Czy Wasza Miłość wybiera się także? — zapytał.

— Nie, Dicku. Ja zostaję w Menabilly razem z resztą mieszkańców.

— Wobec tego ja też zostanę.

— Nie, Dicku. Decyzję musisz pozostawić mnie. Wierz mi, że najlepiej będzie, jeżeli wyjedziesz.

Nic nie odrzekł, ale zrobił się jakiś dziwnie obcy i nadąsany. Kiedy chciałam się z nim pożegnać, odwrócił głowę. Było to jednak lepsze, niż łzy buntu, których się obawiałam, więc wesołym głosem życzyłam mu szczęśliwej podróży i wyraziłam przekonanie, że za tydzień, albo i wcześniej skończą się wszystkie nasze troski.

Z tego niepokoju i zdenerwowania dostałam bólu krzyża, a jedyną rzeczą, której naprawdę pragnęłam, było usunąć się do swego pokoju i wygodnie ułożyć się na łóżku. Danym mi było jednak zaledwie godzinę poleżeć w spokoju, zaznając błogosławionego zapomnienia. Bo oto nagle znowu dobiegł mnie tętent konia, galopującego przez park. Wezwałem Matty, by się dowiedziała, kto to przyjechał. Podbiegła do okna i wyjrzała na dziedziniec.

— To Jegomość Pan Janek — rzekła — Jest w wielkim podnieceniu i rozpaczy. Coś złego się im przytrafiło.

Posłyszałam jego kroki na schodach i za chwilę wpadł do mojego pokoju.

— Dick nam zginął! — zawołał. — Przepadł, jak kamień w wodzie! Nigdzie go nie możemy znaleźć!

— Jakżeż się to stało?

— Byliśmy wszyscy na plaży — zaczął opowiadać, szybko łapiąc oddech — i łódź już spuszczano na wodę, ale jak zaczęliśmy szukać Dicka, tośmy go nigdzie nie mogli znaleźć. Przeszukaliśmy łódź od dzioba po rufę, ale tam go nie było. Nie było go też i na plaży; w ogóle nigdzie go nie było. Cóż my teraz poczniemy, Honorato?

Poczułam się równie bezradna, jak i on, zaniepokojona do głębi. A przy tym tak bardzo zawiedziono moje zaufanie! A tymczasem wojska nieprzyjacielskie były od nas nie dalej, jak o dwie mile!

— Gdzie jest teraz ta łódka?

— spytałam.

— Koło Gribbin. Czekają tam tylko na mój znak.

Przeszukajcie skały we wszystkich kierunkach — powiedziałam.

Wezwawszy zaś Matty kazałam się zawieźć na wały.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ROMAN LUTMAN

Eksperyment społeczny

Wojewódzka Rada Kultury w Katowicach, nazwana przez Romana Lutmana eksperymentem społecznym, zakończyła pierwszy okres swej działalności. Doświadczenia jej służyć będą innym instytucjom społeczno - kulturalnym o podobnym jak ona charakterze cenną pomocą przy rozwiązywaniu zagadnień z zakresu upowszechnienia kultury. Drukując niżej przemówienie, wygłoszone na ostatnim posiedzeniu Rady przez jej przewodniczącego Romana Lutmana, uważamy, że stanowić może ono cenny przyczynek, do rozwijającej się na łamach pism polskich dyskusji o organizacji i upowszechnieniu kultury w Polsce. Niezależnie od poniższej oceny i próby zsumowania doświadczeń zamieścimy w jednym z najbliższych numerów artykuł, który stanowić będzie próbę wyliczenia i określenia najważniejszych postulatów kultury dla Śląska i Ziem Odzyskanych, domagających się wmontowania w program działalności W.R.K. lub instytucji pokrewnych.

I.

Wojewódzka Rada Kultury w naszym województwie stanowiła w chwili jej utworzenia pewną nowość w życiu kulturalnym naszego państwa. Nie była wprawdzie pierwszą, jeżeli idzie o jej nazwę. Przed jej utworzeniem istniały już ciała zbiorowe o podobnej nazwie w innych województwach (w Poznaniu, Gdańsku), ale była pierwszą i jest dotąd jedyną, jeżeli idzie o jej zakres, skład i charakter. Przypomnę, że zanim obecna Rada została ukonstytuowana na podstawie zarządzenia wojewody, istniała przez przeszło pół roku jako zrzeszenie organizacji i instytucji, celem planowego dyskutowania nad potrzebami kulturalnymi naszego województwa. Wynikiem tego pierwszego etapu jej działalności był wniosek, że podstawowym warunkiem systematycznej i planowej działalności Rady jest obdarzenie jej funkcją koordynacji wszystkich czynników pracujących na terenie naszego województwa w zakresie kultury i planowania, oraz — co okazało się najważniejsze — zapewnienie jej stałej podstawy finansowej. Jeżeli takie warunki zostały utworzone, to stało się to dzięki decyzji wojewody gen. Zawadzkiego i stałemu poparciu udzielanemu przez niego Radzie w ciągu całego okresu jej działalności.

II.

Wojewódzka Rada Kultury została powołana zarządzeniem wojewody z dnia 18 lipca 1946 r. Pierwsze jej prezydialne posiedzenie odbyło się dnia września 1946 r. Wspominam o tych datach, by zaznaczyć, że naszą pracę rozpoczęliśmy w obecnych ramach przed rozpoczęciem zasadniczej dyskusji na temat organizacji prac nad upowszechnieniem kultury, jaka od roku toczyła się na łamach naszych tygodników z „Kuźnicą“ na czele. W dyskusji tej nie zabieraliśmy głosu, jakkolwiek śledziliśmy ją z uwagą i zainteresowaniem. Była ona dla nas sprawdzianem celowości naszej działalności. Dyskusja bowiem rozpoczęta przez tygodnik „Kuźnicę“ i jej redaktora Stefana Żołkiewskiego wyszła z krytyki prac Ministerstwa Kultury i Sztuki i dotyczyła głównie dwóch zagadnień: swobody twórczości indywidualnej i „istotnego związku twórcy z swoim czasem i siłami postępu swego kraju“, oraz upowszechnienia kultury. Stefan Żółkiewski w ten sposób ujął ostatecznie swe postulaty poza zasadniczym postulatem powołania Rady Kultury:

„1. uporządkowanie spraw kompetencyjnych takie, by M. K. i S. stało się istotnie naczelną instytucją kulturalną, tak w stosunku do agend państwowych, jak — z odpowiednimi zastrzeżeniami — w stosunku do instytucji społecznych, służących kulturze.

2. Powiązanie na gruncie M. K. i S. twórczości zawodowej z działalności instytucji kultury masowej.

3. Większe zrozumienie dla spraw budżetowych kultury w CUP-ie.

4. Powołanie do życia Instytutu Polityki Kulturalnej, Instytutu Literackiego i odpowiednich wydawnictw.

5. Przebudowa artystycznych związków zawodowych.“ (Kuźnica Nr 41.)

Równolegle zadanie uporządkowania spraw na odcinku kulturalnym podjęła Komisja Centralna Związków Zawodowych, powołując do życia Radę Związków Artystycznych przy CKZZ. Według określenia sekretarza generalnego KCZZ, Włodzimierza Sokorskiego, „Rada Z. A. ma być organem wybieranym na krajowych konferencjach i przed tymi konferencjami odpowiedzialnym, organem niezależnej inicjatywy społecznej, samych twórców nowej kultury polskiej.“ (Kuźnica Nr 47) Wobec takiego sformułowania zadań Rady Z. A. Stefan Żółkiewski wycofał swój poprzedni dezyderat, powołania przy Min. Kult. i Sztuki Rady Kultury, uważając, że powołana przez KCZZ Rada Zw. Art. wypełni całkowicie zadanie postulowanej przez niego Rady Kultury. („Kuźnica“ Nr 47).

Wydaje mi się, że Stefan Żółkiewski za wcześnie wycofał swój postulat, gdyż powołana przez KCZZ Rada Związku Art. posiada charakter specjalny, dzięki swemu wkładowi, który determinuje jej zadania. Jak określa jej zadania Wł. Sokorski „Rada (Zw. Art.) ma być nie tylko ciałem doradczym KCZZ, a przede wszystkim ciałem twórczym, wyłonionym przez Zw. Art. dla koordynacji ich działalności i dla wmontowania ich pracy w nową rzeczywistość polską“. Rada Z. A. więc w swym założeniu jest organizacją skupiającą jedynie związki twórców kultury (literatów, plastyków, kompozytorów, pracowników teatru itp.). Zakres jej działalności obejmuje więc niewątpliwie najważniejszą, ale nie jedyną grupę warstwy kulturalnej, nie obejmuje bowiem tych sfer, których zadaniem jest organizowanie rozpowszechniania kultury. Z tego powodu Rada Zw. Art. nie może wyczerpać wszystkich zagadnień, które należeć winny do zakresu działania Centralnej Rady Kultury, czy też Rad terenowych.

III.

Nasze półtoraroczne blisko doświadczenia wykazują, że w działalności Rady Kultury należy wyróżnić trzy grupy zagadnień: popieranie twórczości artystycznej i naukowej, popieranie placówek pracy kulturalnej, naukowej i artystycznej (biblioteki, muzea, archiwa) wreszcie upowszechnianie kultury wśród szerokich warstw pracujących (świetlice, biblioteki oświatowe, tania książka, ośrodki kultury plastycznej, wszelkiego rodzaju instytucje i zespoły, uniwersytety ludowe, popieranie młodych talentów we wszystkich dziedzinach).

Zadania więc naszej terenowej Rady Kultury są obszerniejsze i nie mieszczą się w ramach Rady Zw. Art. powołanej przy CKZZ. Tylko jedna część działalności naszej Rady jest odpowiednikiem Rady Zw. Art. przy CKZZ. znajdzie również nasza Rada odpowiednika w ew. Radzie Kultury przy Min. Kultury i Sztuki. Ta ostatnia bowiem ze względu na określony zakres działalności Ministerstwa Kultury i Sztuki nie mogłaby obejmować ani problemów aktualnych terenowych, jak problemy repolonizacji i asymilacji ludności osiedleńczej, ani zagadnienia popierania nauki i placówek naukowych (archiwa, biblioteki, towarzystwa naukowe itp.). Potrzeby terenowe postulują więc na stopniu ogólnopaństwowym powołanie do życia Centralnej Rady Kultury, nie mającej odpowiednika tylko w jednym czy dwóch ministerstwach, ale opierającej swą działalność na szerokiej podstawie. Niewątpliwie organizacyjnie biorąc CKZZ jest najbardziej powołaną instytucją, o którą tego rodzaju Centralna Rada Kultury powinna się oprzeć, ale należy stwierdzić, że z punktu widzenia terenu — świeżo powołana do życia przez KCZZ Rada Związków Artystów nie jest odpowiednikiem terenowej Rady Kultury. Należy wysunąć postulat, by przy KCZZ powstała Rada Kultury, obejmująca wszystkie czynniki biorące udział w rozpowszechnianiu i wytwarzaniu dóbr kulturalnych wśród szerokich mas społeczeństwa i zajmująca się wszechstronnie wszystkimi zagadnieniami kulturalnymi.

Dotychczasowa dyskusja na temat organizacji naszego życia kulturalnego wyjaśniła jednak szereg nieporozumień, które początkowo zaciemniały istotę dyskutowanego zagadnienia. Nieporozumienie to dotyczyło sprawy swobody indywidualnej twórczości artystycznej. Wysuwały się bowiem głosy, interpretujące sprawę organizacji życia kulturalnego jako reglamentację pracy twórczej. Jest dzisiaj rzeczą bezsporną, że do kompetencji ciała, zajmującego się sprawami kulturalnymi mogą wchodzić tylko i wyłącznie, zagadnienia organizacji tego życia i stwarzania odpowiednich warunków zarówno dla twórczości jak i upowszechniania wyników twórczej pracy.

IV.

Nasza Wojewódzka Rada Kultury świadomie zakreśliła ramy swej działalności, ograniczając ją do zagadnień organizacyjnych, przyjmując, że ustalenie linii kierunkowych należy do odpowiedzialnych czynników politycznych, obowiązkiem zaś Rady Kultury jest stosowanie się do tych założeń ideowych, które są podstawą naszej obecnej rzeczywistości dziejowej.

Działalność naszej Rady jest już zdeterminowana strukturą demograficzną naszego województwa, które jest największym naszym okręgiem przemysłowym, gdzie masy robotnicze posiadają największy ciężar gatunkowy. Urzeczywistniając zaś zasady demokracji ludowej, musimy równorzędnie brać pod uwagę zarówno polityczne i gospodarcze momenty, jak i kulturalne, które decydują o dojrzałości duchowej warstwy robotniczej.

Nadto teren nasz posiada i inne jeszcze właściwości, których nie posiadają w takiej mierze inne województwa. Ludność naszego województwa jest zbiorowiskiem ludzkim o różnych walorach kulturalnych. Dlatego województwo nasze pod względem kulturalnym nie jest jednostką jednolitą. Znajdują się w nim różnorodne elementy ludnościowe, które do niedawna żyły w odmiennych warunkach politycznych, gospodarczych i kulturalnych i dopiero od niespełna trzech lat znajdują się pod wspólnym dachem i wspólnym kierownictwem. Mamy więc na terenie naszego województwa Zagłębie Dąbrowskie — wyraźnie zarysowaną społeczność polityczno-gospodarczą o wyrobionej tradycji rewolucyjno-społecznej, ale pod względem kulturalnych instytucji przedstawiające obraz dużego zaniedbania. Potem część historycznego Śląska, która w okresie międzywojennym tworzyła województwo śląskie razem z częścią Śląska Cieszyńskiego. Ludność tego dawnego województwa jest poważnie przemieszana — zwłaszcza w ośrodkach miejskich — z ludnością przybyłą z różnych stron Polski. Dalej mamy rozległe tereny Śląska Opolskiego, w którym rozróżnimy wyraźne ludnościowe składniki, o odmiennych tradycjach historycznych. A więc: ludność miejscowa, która po raz pierwszy od szeregu wieków znalazła się we wspólnocie państwowej z całym narodem polskim i przez wiele wieków nasiąkała obcą kulturą niemiecką. Ludność ta wymaga starannej opieki i systematycznej a umiejętnej akcji repolonizacyjnej. Dalej mieszka tu wielka masa repatriantów z dawnych ziem wschodnich, przesiedleńców ze starych ziem, reemigrantów z zachodu. Cała ta mozaika ludnościowa wyrosła w różnych warunkach politycznych, gospodarczych i społecznych, o różnym poziomie kulturalnym, o odmiennej obyczajowości, współżyje obecnie w nowych warunkach na tle dokonywujących się równocześnie przemian społeczno-gospodarczych. Każda zaś grupa ludnościowa reprezentuje skrystalizowaną indywidualność kulturalną, posiada własne cechy twórcze, które odpowiednio rozwinięte, mogą dać poważny wkład do ogólnej naszej kultury narodowej.

Jest rzeczą jasną, że cały ten proces zrastania się kulturalnego wszystkich elementów, tworzących dzisiejsze społeczeństwo naszego województwa, nie może odbywać się samopas bez kontroli i ustalenia jednego kierunku rozwojowego. Kierunek rozwoju politycznego, gospodarczego, a tym samym i kulturalnego jest jasno i wyraźnie wytyczony. Praca na odcinku kulturalnym musi być wykładnikiem tych przeobrażeń, jakie dokonywują się na odcinku politycznym i gospodarczym i winna być dokonywana przez jedną instytucję, która stale jest ośrodkiem inicjatywy, planowania i kontroli.

V.

Jako instytucja, nie mająca wzorów, Wojewódzka Rada Kultury musiała sama szukać dla siebie odpowiednich form pracy. Ubiegły okres sprawozdawczy był okresem poszukiwania i ustalania się tych form. Dzisiaj analizując swe drogi poszukiwania, w których musiano popełnić niejedne błędy i potknięcia, widzi Rada wyraźniej niż przed piętnastu miesiącami zarówno kierunek swej pracy, jak i jej formy. Zaczęliśmy od często przypadkowego interwenowania w różnych bolączkach tutejszego życia kulturalnego, uwzględniając przede wszystkim przesyłane wnioski i dezyderaty. Taki charakter doraźnej interwencji miała prowadzona w zeszłym roku akcja stypendialna wśród młodzieży akademickiej — śląskiej, akcja udzielania subsydiów na zabezpieczenie księgozbiorów, pomaganie materialne muzeom i poszczególnym szkołom i związkom artystycznym i naukowym. Była to w pierwszym rzędzie akcja finansowa i dlatego uzależniona od naszych możliwości finansowych.

W drugim okresie stopniowo jednak w miarę zapoznawania się praktycznego z potrzebami terenu i wrastania w teren działalność Rady stawała się coraz bardziej i konsekwentniej planowa.

VI.

Pierwszą tego rodzaju akcją, mającą na celu upowszechnienie kultury był Śląski Tydzień Kultury, zorganizowany w drugiej połowie czerwca, który przeorał po raz pierwszy cały teren naszego województwa. Drugą akcją było podjęcie inicjatywy w kierunku uporządkowania stosunków w dziedzinie świetlicowej. W tym celu powołano do życia Komisję Świetlicową. Dalszą było podjęcie wydawnictwa taniej książki dla Śląska Opolskiego, którego pierwszy tom po wielu przeszkodach ukaże się w najbliższym czasie. Następną było ujęcie organizacyjne w komisjach twórczych czynników kultury, jak w zakresie kultury plastyki i teatru. Akcja ta jest niezależnie podjętym korelatem Rady Zw. Artystów, zorganizowanej przez KCZZ. Dowodzi to, że zarówno inicjatywa KCZZ w skali ogólnopaństwowej jak i naszej Rady wyrosły z istotnych potrzeb odczuwanych w dziedzinie pracy kulturalnej.

VII.

Jeżeli Wojew. Radzie Kultury danym będzie rozwijać normalnie swą działalność w najbliższym okresie czasu — to działalność ta będzie musiała pójść w kierunku intensyfikacji bezpośredniej pracy wśród szerokich mas społeczeństwa. Zagadnienie świetlic i programu ich prac, organizacja bibliotek oświatowych i taniej książki, popieranie młodych talentów spośród warstwy klasy robotniczej i chłopskiej, szerzenie estetyki życia codziennego i podnoszenie w ten sposób poziomu kulturalnego warstw pracujących — to są konkretne zadania, które Wojewódzka Rada Kultury chce podjąć i realizować. Tegoroczny Śląski Tydzień Kultury dał nam cenną wskazówkę, że we wszelkich poczynaniach kulturalnych, możemy zawsze liczyć na zrozumienie i poparcie szerokich warstw pracujących. Poparcie tych warstw okazuje się większe, niż innych warstw. Przy tworzeniu podstaw naszej Rady spodziewaliśmy się, że znajdziemy pomoc i poparcie tych sfer, które reprezentują w naszym życiu gospodarczym tzw. inicjatywę prywatną, i że ułatwią nam one stworzenie mocnej podstawy finansowej. Musimy z przykrością stwierdzić, że zawiedliśmy się pod tym względem całkowicie. Tzw. inicjatywa prywatna — sfery kupieckie, rzemieślnicze, wolne zawody — nie okazały żadnego zrozumienia ani poparcia dla naszych celów. Na wszelkie apele odpowiadano różnymi żalami, lub dla zbycia się, śmiesznym datkiem, jak to robili nasi rzeźnicy, restauratorzy czy kupcy. Wydaje się, jakby te sfery nie poczuwały się do wspólnoty kulturalnej z warstwą pracującą i dobrowolnie stawiały się poza nawias tworzącego nową kulturę społeczeństwa. Obecnie zrezygnowaliśmy z dalszych apelów do poczucia obywatelskiego tych sfer. Opieramy naszą pracę na podstawach finansowych, jakie stwarzają nam nasze czynniki publiczne.

VIII.

Nasze województwo pierwsze w państwie rozpoczęło planową działalność w zakresie organizacji i upowszechniania kultury. Rozpoczęliśmy pewien eksperyment społeczny. Okres kilkunastu miesięcy jest niewątpliwie zbyt krótki, by móc wydać należytą ocenę działalności naszej Rady. Niezależnie od błędów i niedociągnięć, które musiały być — należy jednak stwierdzić, że istnienie ośrodka inicjatywy i w pewnym zakresie dyspozycji środkami finansowymi na cele kulturalne, przyczyniło się do pogłębienia nurtu kulturalnego naszego województwa. Mamy przekonanie, że jako województwo najbardziej przemysłowe, o największym odsetku klasy robotniczej, mamy możliwości i obowiązek, dokładania wszelkich sił, by u nas wytworzyć ośrodek twórczej pracy kulturalnej w duchu zasad, na których tworzy się i buduje nasze państwo ludowej demokracji.

Roman Lutman.

Drewniane dokumenty

(Dokończenie ze strony 5)

Bo wioska — to ruina. Właściwie nie ma wiosek. Jedynie gruz po domach. Osinów Dolny ma dwóch czy trzech gospodarzy. Kostrzynek pusty...

Na chwilę szlaban WOP-u zagradza nam drogę. Granica jest pod obserwacją.

Wieś Siekierki jest trochę ludniejsza. Za nią to leży cmentarz żołnierzy Pierwszej Armii, poległych na przedpolach Berlina. Ponoć szykuje się dla nich, wspaniale zakrojona, bratnia mogiła w jednym z najpiękniejszych cmentarzy Europy, w Szczecinie. Tymczasem stoją tu szeregi drewnianych krzyży. Napisy nazwisk, napisy, napisy...

Naprzeciw bramy ołtarz polowy spina prowizoryczną całość. Wracając zarosłą ścieżyną między grobami, przechodzimy koło trybuny, z której przemawiał Wódz Naczelny podczas odprawianych tu uroczystości.

Wśród lasu wisi nad umarłymi pogodna, letnia cisza...

Szczecin, duże miasto polskie za Odrą, czeka na poległych za nie właśnie, za nie i za jakby mieszkową granicę „wzdłuż morza“.

Na drogę nanizane są dalsze wioski: Rudnica — Łysogórki Stare, potem Nowe. Większość ich pól leży po tamtej, niskiej stronie Odry. Tu wysoko, pod lasami, które dochodzą prawie do brzegu, mieszkano. Na niską stronę jeżdżono kosić łąki i uprawiać zagony. Podobno dawni mieszkańcy tych domów siedzą na niemieckim brzegu i czekają swego ... niedoczekania...

Na tych polach, co są między borami naszej strony, saperzy, ponoć, wydobyli 32.000 min. Trudno było forsować rzekę, która była ostatnią zaporą przed stolicą Hitlera.

Okolice ku Dębnu są zaludnione i żyją coraz normalniej. Nie kierujemy się jednak z Mieszkowic na Boleszkowice. Wybieramy kurs wgłąb lądu na Moryń. Czyżby to odkrywcze przeczucie?

Któż wie cokolwiek o tym rolniczym miasteczku, mniejszym od pobliskiego Trzcińska-Zdroju, nie mającym nawet borowinowych ambicji. Najskrupulatniejsi historycy nie wiedzą nawet dobrze, skąd pochodzi sama nazwa. Czy sięgali aż tu Morzyczanie z drugiego brzegu, czy jezioro przypominało jaką morskość czy też morzono tu ofiary na cześć Światowida, o którym Niemcy zapisali wieści i którego ołtarzem był zapewne ów ogromny głaz morenowy, przywleczony przez mieszczan bliżej miasta, gdyż w wydrążeniu tego kamienia mieściły się wzorowe miary objętości. Kapłani, widać na ofiarę bóstwu, ściśle odmierzali, zjednujący je, miód.

Jedno jest pewne, że była to odwieczna, słowiańska wioska rybacka, która, nawet urósłszy w miasto, nigdy niczym znacznym nie była.

Naukowcy nasi tu w kącie między dolną, prawobrzeżną Wartą a Odrą umieszczają siedziby tajemniczych Licikawików, z których to kraju zapewne płacił ów trybut cesarzowi Mieszko, Chrzciciel Polan. W trzy wieki potem wgryzała się tędy Marchia, przeklinanej od Słowian pamięci...

Oglądam to puste, sporne miejsce, przez które szosa wbiega do miasteczka. Bramy nie ma. Mury jednakże stoją do dziś. Przyłożono do ich amputowanych kikutów po filarze świeżej, nawet nie stuletniej, cegły. Szpetne są te porządne, iście niemieckie przybranki. Żal starej bramy, choć krzyżacka była czy marchijska.

Idę przez rynek, gdzie komturowie mieli swój urząd gospodarczy. Uliczka ku kościołowi nazywa się literalnie: „Wązka“. Kto pisał tę nazwę, był starszy zapewne. Oddawna przymiotnik ten pisze się przez „s“. Miła jest ta maluczkość prowincji.

Na kamieniczce pokutuje jeszcze niemieckie ogłoszenie, że tu właśnie stolarz zwał się: „Puhle“. Ej, czy nie Pole, po prostu, bo cóż znaczy to Puhle?

Dochodzę do kościoła, z którego aż bije ciężka starożytność. Rzadko można widzieć budowlę tak wymownie dawną. Może barnimowa parafia była jeszcze dębowa, a może to z jego czasu. Ostrołuki tu prymitywne, prawie nieporadne, jak prostacka, gruba dłoń.

Jakieś legendy zdają się wyłazić z jeziora ku tej grzybo-podobnej świątyni. Jakiś rak, ponoć z słowiańskiej tutejszej, nadjeziornej bajki, miał tu pożreć pierwszego chrystianizatora. Taka rozrosła więc stanęła świętynia, by nie zakleszczył jej ten potworny pogański rak. Aż mrowie przechodzi...

Rzutem grubego krzyża stoi ten kościół, jakby chciano świętym, łacińskim znakiem naznaczyć to bałwochwalcze miejsce. Wieża gruba, fortecznie na boki otwarta, kryjąca główne wejście. Jest podobna do, o wiele wytworniejszej w Chociwolu za Stargardem. Która od której się wywodzi? Chyba tamta od tej dawniejszej i protaczej, lecz także rozkraczonej obronnie, przeciwpogańsko.

Przesuwam oczy po belkowanym stropie. Chór także ma stare, potężne bierwiona. Ciężko tu ciosano, dębowo, bez polotu, choć na wieki...

... i nagle osłupiałem.

Na środku ciężaru kościoła stoi lekki cud!

Całą tę zjawiskową ambonę pokrywa wykwintna rzeźba. Jak kielich, ku górze rozwarta, lotnie, zgrabnie wiją się roślinne, wymyślne ornamenty, wśród których czterej Ewangeliści...

Czyż cały kościół mógł być tak zdobiony? Nie, chyba nie. Gdzieżby w luterskiej prostocie taka fanfara artyzmu.

Od herbu nad wejściem do ambony zdziwionymi oczyma szukam rozwiązania tak nagłej zagadki... Jest! W bocznym ramieniu krzyża kościoła, nad ławkami wisi roccocowy kawaler, nad którym ten sam na tarczy znak. Data głosi 1750 rok. Któryś z Schönebecków.

Ale nie o to chodzi. Pamięć rzeźbiarza ambony przepadła...

A dzieło przecie godne wspomnienia.

Już w domu sylabizuję rękopis niemieckiej historii Morynia. Nie ma go nawet w druku, bo i mieścinka była zapewne zbyt uboga.

Tam, w tym, gotą pisanym, szkicu monograficznym czytam wiadomość:

... w Dziedzicach (Deetz) jest na kazalnicy niemiecki napis: „Henryk - Barnard Hattenkerl, rzeźbiarz i architectus wszystko to i Anioła na chrzcielnicy wysztafirował w Moryniu (Morrin) a prócz tego za ołtarzem: „Wszystkie roboty stolarskie jako tenże ołtarz, konfesjonał i Anioł nadchrzcielny — po za wysztafirowaniem i ozłoceniem — w całym kościele przez mnie wykonane — Henryk-Bernard Hattenkerl, sculpteur, zam. w Moryniu“.

A więc urodził się i żył taki mistrz w tej mieścinie. Co mógł tu jeszcze rzeźbić w okolicy?

Ale przecie ważne, jak ten człek — choć niewątpliwie już zniemczony — się nazywa albo raczej, jak go przezywano?

Kerl — chłop, prostak...
Hatten — z chaty!

Prosty, poczciwy człowiek z chaty był przodkiem Hattenkerla, jeśli nie on sam nawet. Każdy prostak w Marchii, każdy spod strzechy musiał być Wendem-Słowianinem. Kto tam pamiętał, że on z tych nieważnych Licikawików może... Ot, był sobie z tych, o których nie pisały strony kronik, a wraz z aktami miasta, zaprzepaszczonymi przez Szwedów, zaginęła o jego przodkach wszelka możliwość pamięci...

A może dowody pisane zetlały w pożarze miasta, które zajęło się od strzechy kowala za czasów Starego Fryca. Wprawdzie Wielki Fryderyk wspomógł potem Morynian, współbraci zapomnianego Hattenkerla, potomka prostaka z Wendyjskiej chaty, jednak śladów po nim nikt na pewno nie starał się zachować.

Cóż komu było po tym.

Może właśnie dlatego przepadły, że Hattenkerl pochodził spod wendyjskiej strzechy...

Był to w każdym razie wcale niepośledni architectus i sculpteur.

Grodzisko

Powiat gubiński, najdalej na południe położony kraniec Ziemi Lubuskiej, posiada wiele miejsc wskazujących na ślady najstarszego osadnictwa słowiańskiego, które trzymało się żyznej lessowej gleby idącej pasem od płn.-zach. ku południowi. Poza tym pasem występują przeważnie piaski. W miejscowościach o żyźniejszej glebie (Niemcza = Polanowice, Starosiedle) już przeszło 100 lat temu znajdywano ciekawe wykopaliska, urny, szczerby naczyń itd., które, sądząc z dyletanckich opisów ówczesnych, były bez wątpienia słowiańskie, wiele z nich mogło sięgać jeszcze doby kultury łużyckiej. Do takich najciekawszych punktów należy Niemcza Łużycka, na południe od Gubina, nad samą Nysą położona, którą ostatnio dość nieszczęśliwie nazwano urzędowo „Polanowicami“ (dawn. Niemitsch). Przy małej wiosce granicznej, bardzo zniszczonej w czasie ostatnich walk — znajduje się wielki okop okrągły, albo grodzisko o średnicy ponad 60 m. Okop panuje nad przejściem przez Nysę (w tym miejscu zresztą dość wąską). Dziś jest już mocno zniszczony, znać zaledwie jego zarysy i to słabiej od strony rzeki, najwidoczniej z powodu zalewów, wielokrotnie się powtarzających. Powierzchnia okopu jest zaorana i ma w 1/3 przekop na ¾ m głęboki, rodzaj rowu, w którym można na każdym miejscu znaleźć bardzo wiele prehistorycznych szczerb i skorup.

Grodzisko w Niemczy Łużyckiej znane było już w 1820 r., o wiele wyższe, wówczas wśród dębowego gaju położone. Wedle starych komunikatów z czasopisma „Neues Lausitz. Magasin“ z lat 1833, 1834 i 1837 r. znaleziono tu wpierw 8, później około 60 urn z popiołem i kośćmi, obstawionych małymi naczyniami w grobach kamiennych (typowe groby kultury łużyckiej). W pobliżu grodziska znajdywano również urny (w 1824 parę sztuk jacyś Anglicy wykupili do Londynu). Amuletów, pierścieni itd. nie znaleziono.

Obecnie wycieczka Instytutu Zachodniego, objeżdżająca w sierpniu i wrześniu br. Ziemię Lubuską w celach naukowych, przy okazji zwiedzania Polanowic, odkryła po raz pierwszy dla nauki polskiej to zaniedbane i na pół zniszczone grodzisko i zebrała sporo skorup dla przekazania ich Muzeum Prehistorycznemu w Poznaniu do zbadania. Najprawdopodobniej było tu wpierw obronne grodzisko, które niejednokrotnie odbudowywano, ze względu na jego doskonałe położenie nad Nysą, przy nim cmentarzyska z różnych epok. Jak wynika z wypadków znanych z dziejów musiał tędy przechodzić Bolesław Chrobry w 1007 r. z wojskami do Cervisti (Zerbst) i pod Magdeburg, a znaczne nabytki terenowe w tej stronie, poza Nysę sięgające, pozostały w polskim ręku do 1031 r. Jest rzeczą prawdopodobną, że tu toczyły się również walki Mieszka I z Bolesławem czeskim około roku 990. Jest to zatem odkrycie rewelacyjne dla wczesnych dziejów Polski i dziś na naszym terenie, na samej zachodniej rubieży państwa znalazło się grodzisko znane (jak i Niemcza Śląska) z walk z Niemcami z doby Chrobrego i jego syna Mieszka II. Winni się nim jak najrychlej zainteresować prehistorycy polscy, aby na wiosnę móc rozpocząć badania terenowe. Badania te mogą przynieść rewelacyjne wyniki w zakresie historii i prehistorii i oświetlić epokę naszych pierwszych historycznych zmagań z Niemcami na ziemiach, które po 900 przeszło latach są znów w polskim ręku.

Krystyna Pieradzka.

25 lat literatury na Śląsku

Zdzisław Hierowski: 25 lat literatury na Śląsku. 1920 — 1954. Katowice — Wrocław 1947. Pamiętnik Instytutu Śląskiego. Seria II. 8.

Od czasu sędziwych książek: Piotra Chmielowskiego „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu“ (1881) i Wilhelma Feldmana „Piśmiennictwo polskie ostatnich lat dwudziestu“ (1902) widzimy jasno, jak kłopotliwy trud podejmują autorzy współczesnych syntez literackich. Książki ich nie mają cechy beznamiętnych opisów życia literackiego w przeszłości, materiał krytyczny wymyka się zasadom spokojnego wartościowania. I wszystkie podobne ujęcia wywołują wokół siebie gwałtowny ruch opinii, na świadectwo mniej lub więcej wyraźnej parcjalności dzieła. Czy można sprawiedliwie osądzać współczesność? Przynajmniej od czasów Chmielowskiego i Feldmana rozumiemy dobrze, że jest to sąd najtrudniejszy.

Prawdopodobnie także książka Zdzisława Hierowskiego „25 lat literatury na Śląsku“ wywoła podobne falowanie pochwał i dezaprobaty. Zbyt żywo bowiem związana jest zę współczesną rzeczywistością literacką regionu, by mogła być obojętnie czytana. Ostatecznie i Chmielowski i Feldman nie wyszli na tym źle. Ktoś powiedział: czytać dobrze książkę, to znaczy z nią się kłócić. I można życzyć zarysowi Hierowskiego, by powstały wokół tych stronic żywe spory dotkniętych lub niedochwalonych autorów, którzy uzasadnią nową twórczością korektę sądów krytycznych — dla nowego wydania.

Nasz domiar jest o wiele skromniejszy: zamiast kłócić się o książkę, chcemy ją po prostu opisać.

Daty, które widnieją na karcie tytułowej: 1920 — 1945, są napozór pozaliterackie. Gdy jednak przypatrzyć się im dokładniej, rok 1920 uzyskuje znaczenie także w historii literatury śląskiej, około bowiem r. 1920 ustąpiła z pola cała generacja pisarzy, walczących piórem o wolność państwową. Rok 1945, zamykającej 25-lecie, stanowi ważną datę polityczną (zakończenie wojny) i dopiero dalszy rozwój literatury wyjaśni, czy jest to równie rok z literackiego kalendarza. Obecnie przedstawia on wartość

Tak skonstruowany okres piśmiennictwa oznacza jeszcze nadbudowę nad dziełem Wincentego Ogrodzińskiego „Dzieje piśmiennictwa śląskiego“. Ale książka Hierowskiego posiada ambicje własne i nie chce spełnić jedynie roli aneksu naukowego do książki drugiej.

Są to ambicje konstrukcji. Konstrukcja autora wyróżnia w obrębie 25-lecia trzy fazy rozwojowe: literaturę ludową („Z ludu i dla ludu“), którą prowadzą nazwiska Jana Kubisza i Emanuela Grima, — literaturę regionalną, której postać główną stanowi Gustaw Morcinek, odkrywca Śląska jako wielkiego tematu twórczości, — wreszcie „Pokolenie poetów“, którzy wyszedłszy z założeń regionalnych mieszczą się jednak swobodnie w kategoriach ogólnopolskiej kultury literackiej. W ten sposób Hierowski wystudiował pasjonującą ewolucję piśmiennictwa śląskiego, w jego trzech podstawowych stanowiskach historycznych.

O końcowym wyniku tego procesu rozstrzyga jeszcze czwarta grupa pisarzy, których wylicza rozdział pt. „Siła przyciągania“. Są to pisarze, przyciągnięci przez Śląsk atrakcyjnością tematyki lub własnym losem życiowym. Ich trud literacki, który sygnują nazwiska całej skali: od Zofii Kossak do Emila Zegadłowicza, wprowadzał Śląsk do myślenia literackiego epoki.

Trzeba powiedzieć, że konstrukcja Hierowskiego, ciekawa i przekonywająca w ogólnym zarysie, rozsypuje się — na charakterystyki poszczególnych pisarzy. Charakterystyki te zostały umieszczone w ramach uzasadnionego planu, ale stanowią raczej portrety literackie. Patrzymy w istocie na głowy literatów śląskich, ustawione w trzech szeregach, według przedstawionej zasady swoistego porządku literackiego.

Szkice te tylko ubocznie wprowadzają elementy biografii (rezerwowane dla „Dodatku“ na końcu książk). Dowodzą na ogół bardzo dobrej orientacji bibliograficznej autora, którego przygodne potknięcie w tej dziedzinie notujemy bez zadowolenia (przy nazwisku Zbigniewa Zaniewickiego: toć to współpracownik Miriama przy wydaniach Norwida, pozatem autor książki beletrystycznej „Zielone piekło“). Portrety Hierowskiego usiłują wydobyć materiał literacki i umieją być w tym zakresie odkrywcze i bystre.

Szczególnie uważnie ustala autor rodowody poszczególnych postaw literackich, wyczuwając trafnie zmiany kierunkowe twórczości Fierli pod wpływem Zegadłowicza (koncepcja „Słonecznej kopalni“) czy pisarstwa Morcinka pod sugestią Zofii Kossak (w pomysłach powieści o Ondraszku). W układzie charakterystyk spotrzegamy parokrotnie metodę zestawiania i konfrontowania pisarzy: Jana Waśniewskiego wobec Morcinka (przy tym wydobycie Waśniewskiego, zapomnianego epika Zagłębia, należy umieścić wśród nowości książki), czy Gojawiczyńskiej wobec Zofii Kossak.

Sądy Hierowskiego umieją być niezależne, co nie stanowi cechy zbyt pospolitej w krytyce literackiej. Jeśli grzeszą, to właśnie surowością (która zdała się nam niesprawiedliwa przy analizie pisarstwa Jana Baranowicza) Stosowanie podobnie surowych kryteriów oceny jest konsekwencją stanowiska autora, by literaturę śląską, skoro przestała być regionalną, sądzić według miary ogólnopolskiej. Charakterystyka wartości w poezji Wilhelma Szewczyka dowodzi, że autor zachowuje umiejętność krytyczną wobec siły pisarskiej, jak ujawniał ją poprzednio wobec literackiej słabości.

Niejednokrotnie wymaga ołówka korektorskiego język książki, co nas zadziwia u autora, który potrafi być starannym stylistą.

Tadeusz Mikulski

Homo oeconomicus

Wielkopolska zdobyła sobie trwałe zasługi jako szkoła pracy organicznej nad podniesieniem życia gospodarczego naszego kraju. Praca od podstaw, wytrwałość, karność społeczna, przywiązanie do tradycji — oto podłoże psychiczne, z którego wyrósł kierunek działalności społeczeństwa wielkopolskiego pod pruskim zaborem. Gospodarcze zmagania z Niemcami trwały tu z górą wiek cały 1815 — 1918.

Ekonomiczne pokonanie żywiołu polskiego przez Niemców miało zadecydować o wynarodowieniu się Polaków w Poznańskiem. Ustawa kolonizacyjna uchwalona przez sejm pruski zmierzała nie tylko do wyzuwania z ojcowizny chłopów wielkopolskich ale zmuszała ich po prostu do emigracji. Ostrze tej ustawy nastawiono również na handel i przemysł polski.

Niemcy upatrzyli sobie Wielkopolskę za „Kornkammer" (1871), toteż specjalnie troszczyli się o rozwój rolnictwa, hamując ważne gałęzie przemysłu i handlu. Prowadzono za tem rolnictwo. Doszło one do rozkwitu dzięki doskonałym metodom dydaktycznym i organizacyjnym podjętym przez Dezyderego Chłapowskiego, Gustawa Potworowskiego, Maksymiliana Jackowskiego i in.

Akcja eksterminacyjna Prusaków zmusiła żywioł Polski do organizacji i twardego wysiłku na polu gospodarczym i społecznym. Szczególnie drobny przemysł i rzemiosło, zasilane kredytem przez spółdzielnie pod nazwą Tow. Pożyczkowe Przemysłowców (1861), Bank Przemysłowców i Bank Związku Spółek Zarobkowych przeżywały okres materialnego dobrobytu. Spółdzielnie handlowe zwane „Rolnikami" przyczyniły się dużo do pomyślnego rozwoju handlu. Wystawy wielkopolskie od 1850 r. nie ustępowały w niczym wystawom niemieckim. Przemysłowcy wielkopolscy uczestniczyli także w wystawach zagranicznych. Rekord powodzenia osiągnęła fabryka Cegielskich. Jej wyroby nagrodzono m. in. w Londynie (1862), w Kijowie (1885), w Lipsku (1909).

Powstanie i dzieje tej wielkiej fabryki metalurgicznej omówił barwnie i interesująco Dr Zdzisław Grot w swej książce p. t. „Sto lat Zakładów H. Cegielski" (Poznań 1946).

Autor napisał wzorową monografię i mimo nagromadzenia w niej całego szeregu szczegółów natury ekonomicznej, technicznej i społeczno-prawnej wywiązał się doskonale ze swego trudnego zadania. Książka ta zyskała już uznanie wśród sfer ekonomicznych i społecznych, a fachowa krytyka nie szczędzi uznania dla pracy i sumienności autora.

Nie mniejszą sumiennością i skrupulatnością odznacza się druga książka tego autora*) poświęcona osobowości postaci Wielkopolski XIX w. Hipolitowi Cegielskiemu.

Pisano o nim w swoim czasie dużo, ale dopiero teraz portret „najcelniejszego z galerii wielkich Wielkopolan" odmalował dr Grot w nowoczesnej swej monografii, pisanej już przed wojną.

Hipolit Cegielski urodził się 1813 r. w miejscowości Ławki (pow. Gniezno). Do gimnazjum uczęszczał w Trzemesznie, potem w Poznaniu. Studia uniwersyteckie odbył w Berlinie (wydział filozof.). Po napisaniu pracy doktorskiej i złożeniu egzaminu nauczycielskiego uczył w gimn. Marii Magdaleny w Poznaniu. Działalność naukową i publicystyczną rozpoczął w 1837 rozprawą „O Janie Kochanowskim jako poecie lirycznym i jego stosunku do wielu starożytnych". Obok pracy zawodowej pisał podręczniki szkolne. Przez jakiś czas pełnił funkcję kierownika internatu. Ze względu na politykę rządu pruskiego pracę nauczycielską musiał zarzucić.

Zrazu o krok od rozpaczy, zamyśla się przez pewien czas i widzi przed sobą nową drogę. Zostaje kupcem.

Borykając się z rozlicznymi trudnościami materialnymi otworzył handel żelaza w Poznaniu. Założył także dziennik polityczny pod nazwą „Gazeta Polska", reprezentował społeczeństwo polskie w sejmie pruskim. Jego sklep zamienił się w fabrykę narzędzi rolniczych. Cegielski uzyskał się energicznym i zdolnym kupcem a wspierany coraz powszechniejszym zaufaniem społeczeństwa wielkopolskiego rozszerzył swoje przedsiębiorstwo. Pisał teraz rozprawy fachowe, oprócz prac ekonomicznych. Towarzystwo Naukowe, instytucji utworzonej przez Marcinkowskiego. Cegielski okazał się energicznym i przedsiębiorczym kupcem a wspierany coraz powszechniejszym zaufaniem społeczeństwa wielkopolskiego rozszerzył swoje przedsiębiorstwo.

W 1865 r. uzyskał prawo na wydawanie gazety pod nazwą „Dziennik Poznański".

Intensywna a zarazem wszechstronna działalność zrujnowała zdrowie Cegielskiego. Piastował także godność ezynnego członka Pozn. Tow. Przyjaciół Nauk i prezesa Centr. Tow. Gosp. (1865). Kierując tymi dwoma naukowymi organizacjami stał się Cegielski prawdziwym społecznikiem na ziemiach Zachodu. Zajęciom literackim i naukowym oddawał się niestrudzenie do końca swojego życia. Powalony chorobą umarł 30 listopada 1868 r.

W kapitalnej swej monografii kreśli nam autor w dziesięciu rozdziałach żywot i działalność Cegielskiego podmalowując szeroko tło ówczesnej epoki. Dr Hipolit Cegielski, znawca polonista i naukowiec, kupiec i przemysłowiec, to jeden z największych przedstawicieli pozytywizmu. Był typem człowieka zachodu, przedsiębiorczym, rzutkim, niezłomnym w wielkim stylu. Cegielski rozniósł sławę po całym świecie imię Polski i wykazał na gruncie niemieckiej polityczności żywotność narodu na odcinku gospodarczym i ekonomicznym.

Dr Grot okazał się narratorem pierwszorzędnym. Litera turze biograficznej przybyła cenna praca jako trwała i bardzo wartościowa pozycja naukowa.

Adam Dytklewicz.

*) Dr Zdzisław Grot: Hipolit Cegielski, Poznań 1947, Księgarnia Akademicka str. 350.

ZOFIA ROSZKÓWNA

Tenebrae et lux

Niezaprzeczonym faktem jest, że w pewnym odłamie literatury europejskiej nastąpił już w okresie przedwojennym zwrot ku problematyce religijnej. Wokół takich nazwisk jak Chesterton, Mauriac, Bernanos, Sygryd Undset, Gertruda von Le Fort, Zofia Kossak, Rostworowski — rozpętała się burza sądów tak czytelników jak i krytyków. Od tej powodzi różnych zdań, idących rozkołysaną falą od zachwytów do nieodpowiedzialnych potępień, jedną rzecz można stwierdzić z całą pewnością, że zagadnienie literatury religijnej istnieje naprawdę, jest żywe, pulsujące krwią, wyrosłe z życia. Pewni pisarze coraz częściej usiłują wprowadzić w świat literatury problematykę religijną nie tylko jako nowy, oryginalny motyw, ale jako siłę twórczą, jako pewną strukturę myśli, w ramach której literatura ma się ukształtować, nabrać właściwego, metafizycznego sensu. Czytelnicy znów zdradzają nieukojoną tęsknotę za książką, która by już nie w katechizmowych i kaznodziejskich formułkach, ale w żywej sugestywnej fikcji literackiej, dającej wszelkie pozory prawdy, ukazała życie jasne, życie takie, jakiego każdy choćby najgorszy człowiek pragnie.

Największej niepokoju wśród czytelników i krytyków budzi twórczość Mauriaca. Polemika na temat jego twórczości nabrała przed wybuchem ostatniej wojny na gruncie polskim cech bardzo niezdrowych wskutek splątania kryteriów politycznych z literackimi i religijnymi. Mauriac bowiem jest nie tylko powieściopisarzem, ale i publicystą. Krytyka Mauriaca metod walki z Żydami w Polsce stała się niesłusznie punktem wyjścia wszystkich ataków na jego twórczość i na niego samego, czyniąc zeń masona, heretyka i demoralizatora.

Niezależnie od zarzutów politycznych stawiają Mariacowi spokojni krytycy zarzuty ideologiczne. Ściągają się one głównie do zarzutu jansenizmu i pesymizmu w malowaniu nędzy moralnej człowieka. I rzeczywiście nad wieloma utworami Mauriaca zawisnął tragiczny rozdźwięk między naturą i łaską. Religijność bohaterów powieści Mariaca ma w sobie coś tragicznie splątanego, szamocącego się, uwikłanego w trzęsawisko zła, z którego tylko cud łaski może wyrwać i wyrywa.

O. Jacek Woroniecki zestawia twórczość Mauriaca z Dostojewskim („Chrześcijanizm powieści Dostojewskiego i Mauriaca" — Tyg. Powsz. Nr 139) i przyczyny jego pesymizmu dopatruje się we wpływie tego rosyjskiego pisarza. O. Woroniecki zarzuca Mauriacowi lubowanie się w samodręczycielskim grzebaniu we własnym sumieniu, niechrześcijańskie samoobrzydzenie, brak poczucia godności osobistej i wstydu, który często wypływa nie z pokory, ale jest przejawem utajonej pychy. „U Mauriaca — pisze we wspomnianym artykule O. Woroniecki — błędne ustosunkowanie się do zagadnienia zła w duszy ludzkiej tak obce duchowi chrześcijańskiemu, jest dominującą nutą wielu najcelniejszych powieści, choć nie przybiera tak krańcowych przejawów jak u Dostojewskiego."

A jednak taki sąd o twórczości Mauriaca nie we wszystkim jest słuszny i w dużej mierze jest krzywdzący.

O. Woroniecki sam przyznaje, że: „Naiwnością jest nie dostrzegać zła na świecie, albo choćby nie doceniać jego wpływów".

U Mauriaca problem zła i jego katastrofalnych wpływów na duszę i życie ludzkie jest postawiony z niezwykłą powagą. W tym zrozumieniu, jaką katastrofą, jakim nieszczęściem jest grzech, Mauriac jest bardzo katolicki. Etyka katolicka z grzechu, z upadłej natury wyrasta. Cała asceza na niej się wspiera i tym się różni od wszystkich innych systemów moralnych. Wystarczy tylko spojrzeć na Chrystusa rozpiętego na krzyżu, by zrozumieć, że grzech jest „misterium iniquitatis", z którego tylko łaska może nas wyrwać. Ten motyw ingerencji łaski w zewnętrzne życie człowieka powtarza się u Mauriaca niemal we wszystkich utworach uparcie i mocno. Usiłuje Mauriac ukazać dzisiejszemu człowiekowi, ślepemu na czynniki nadprzyrodzone, rzeczywistość i siłę działania łaski. Właśnie życie łaski jest wyróżniającym znamieniem katolika, o czym często zapominamy i dlatego katolicyzm nasz jest tak połowiczny, słaby, kompromisowy, dlatego tak nam dziś daleko do pełni duchowej w życiu osobistym.

W ostatniej tłumaczonej na język polski książce Mauriaca pt. „Ciało i krew"*) znowu ten problem został z niezwykłą siłą uwypuklony. Bohaterem powieści jest Klaudiusz Favereau, syn wieśniaka, który wystąpił z seminarium. Wprawdzie tej rezygnacji z kapłaństwa zażądali jego zwierzchnicy, ale on sam był świadom tego, że to „on kierował swymi zwierzchnikami, on nastawiał ich na upragnione postanowienie". Nie było to skutkiem przesilenia, czy utraty wiary. Po prostu „dochodząc do osiemnastu lat poznał swe własne serce, swe groźne moce". Właśnie głos „ciała i krwi" — jak to mówi tytuł — wyrwał go z obranej drogi. Lecz mimo to, że Klaudiusz nie chce zostać kapłanem, pobyt w seminarium, życie kontemplatywne, życie w łasce i z Bogiem uczyniło go innym człowiekiem. I w tym tkwi główny problem tej książki. Autor z niezwykłą mocą ukazuje w Klaudiuszu tę inną, Bożą moc i jasność, która nań z łaski spłynęła.

Najlepiej to wyraża May — młoda dziewczyna, córka właściciela pałacu w Lur. May jest hugenotką. Zetknięcie się jej z Klaudiuszem budzi w jej sercu miłość. Pierwszy odruchowy pocałunek jest dla tej czystej dziewczyny, podobnie jak i dla Klaudiusza, wstrząsem. May jakby dla zmazania tej winy, dla pokuty, decyduje się na małżeństwo z przeznaczonym jej przez ojca Marcelim Castagnedem, który jest katolikiem. Pamiętnik jej daje obraz przemian, jakie się w niej dokonują. Po pierwszej swej Komunii św. pisze May: „Jestem pewna, że wszelka łaska spłynęła na mnie dzięki niemu — Klaudiuszowi — jakkolwiek widziałam go w szponach pokusy, jako niewolnika własnej młodości. Niewątpliwie miał w sobie coś więcej niż siebie samego. Dręczony swym smutnym pragnieniem, niewolnik ciała i krwi sądził, że może mi udzielić tego pragnienia i bezwiednie dał mi Boga. Już z samej jego obecności promieniowała łaska, jak światło z lampy. Przebijała poprzez jego cielesną żądzę, a jednak doznałam jej." Czy trzeba coś jeszcze dodawać do tego komentarza samej bohaterki powieści?

Zarzuca się Mauriacowi, że nie umie ukazać uszlachetniającego wpływu łaski. I zapewne tak było w innych jego powieściach. Łaska spadała nagle na duszę pogrążoną w grzechu, wyrywała ją z przepaści niemal przemocą. I w takim właśnie momencie autor urywał swą opowieść.

A jednak w powieści „Ciało i krew" pokusił się Mauriac o ukazanie dobroczynnego działania łaski i katolicyzmu.

May była delikatną, czystą i subtelną dziewczyną, lecz wychowana w hugenockiej atmosferze nie posiadała w sobie zdrowej równowagi ducha. Rozbijała się o egzaltowany purytanizm, nie umiała z nim pogodzić spraw ciała i krwi. Dopiero katolicyzm czyni z niej normalną kobietę, która w małżeństwie nie będzie się dopatrywała spraw szatana. Sama w ten sposób mówi o tym zwycięstwie równowagi: „Nie należy uprzedzać łaski, postępować trzeba za nią krok w krok, według wskazówek swego przewodnika... Musi być ład.."

Lecz mimo tak mocno postawionego problemu łaski i jej zwycięstwa w duszy, Mauriac nie potrafi się uwolnić od jakiegoś dziwnego zniewalającego musu stwarzania postaci omotanych niemal bez reszty złem. I aż dziw zbiera, jak May mogła zachować czystość i świeżość duszy w takiej okropnej atmosferze moralnej, jaką stwarzał jej ojciec, despota i lubieżnik, przewrotna i zepsuta pani Gonzalès, nie lepsza od niej jej córka Edyta, wreszcie psychopata Edward, brat May? Chyba ta straszliwa atmosfera zepsucia i zła nie była potrzebna do uwypuklenia zagadnienia łaski!? I to jest niewątpliwie tragizm Mauriaca, który bardziej niż ktokolwiek jest dzieckiem czasu. W tym dogrzebywaniu się dna ludzkich nędz i grzechów Mauriac nie jest odosobniony. Cała literatura powszechna ostatnich czasów wzięła sobie za zadanie ukazywanie wszystkich świadomych i nieświadomych czeluści serca. Może jest to ostatni etap tego zagłębiania się w sobie samym, które zaczęło się od renesansu. Może trzeba było tego zejścia we wszystkie ciemności, by dojść do przekonania, że tylko Bóg nas od nas samych wybawi?!

Mauriac tym różni się od innych niereligijnych pisarzy, że świadom jest swoich obciążeń, że ze szczerością staje takim, jakim jest „in conspectu Dei", rzuca do Jego stóp wszystkie nieprzeniknione ciemności swej epoki i oczekuje na światło. I wierzy, że światło i moc łaski przeniknie wszystkie warstwy duszy, oczyści je i harmonijnie powiąże w całość.

„Tenebrae et lux" — oto tytuł, jaki by można dać całej twórczości Mauriaca.

Zofia Roszkówna.

* Wyd. Awir.

Wszystkim swoim Prenumeratorom, Czytelnikom, Sympatykom i Współpracownikom

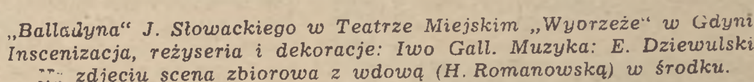
ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

składa

REDAKCJA „ODRY"

„Balladyna"

u Iwo Galla



„Balladyna" J. Słowackiego w Teatrze Miejskim „Wybrzeże" w Gdyni. Inscenizacja, reżyseria i dekoracje: Iwo Gall. Muzyka: E. Dziewulski. Na zdjęciu scena zbiorowa z wdową (H. Romanowską) w środku.

Cykliczny rozwój ludzkości ma tę właściwość, że pewne formy tak kulturalne, jak artystyczne, dochodzą do ostatnich granic swoich możliwości, po czym następuje szybki odwrót, nowe zaczerpnięcie oddechu u źródeł — w prymitywie. Niczym innym nie jest w malarstwie prerafaelityzm XIX wieku, a w teatrze przeżywane obecnie zbawienne, oczyszczające odświeżanie się. Znużeni barokowym przebudowaniem sceny i dekoracji, olśniewającą wystawą wielkich i bogatych teatrów, oszałamiającym blichtrem music-hallów, wracamy do prostoty szekspirowskiej. Inscenizacja Balladyny I. Galla zrywa z wszelkim dotychczasowym szablonem: jedna scena (bez kurtyny) podzielona na pola działania w poziomie: góra — świat duchów, sfera Goplany, dół (właściwie parter) świat ludzi — sfera działania Balladyny, a ten ostatni świat znowu podzielony w pionie na trzy główne centra działania: pustelnia w pośrodku, chata wdowy i jej córek po lewej ręce, zamek Kirkora po prawej — wszystko oczywiście zaznaczone tylko fragmentami. Między podniebnym światem Goplany, a przyziemnym Balladyny wędrują jako łączniki — duszki: Chochlik i Skierka, oraz Grabiec, który jako człowiek z silnie podkreśloną stroną materialną — wkracza niezgrabnie i brutalnie w bajkową i feeryczną płaszczyznę duchów.

W ten sposób rozwiązaną mamy od razu plastycznie i syntetycznie na scenie całą konstrukcję tematyczną Balladyny.

Ta niezmienność i odrazowość rzutu scenicznego byłyby nie do zniesienia dla dzisiejszego widza, gdyby nie element światła, przez Galla po mistrzowsku w grę wprzągnięty. Światło jest tu głównym dekoratorem i konstruktorem widowiska i nieodzownym dopełnieniem wizji scenicznej. Czy rzecz dzieje się w chacie, czy w pustelni, czy w lesie nad Gopłem — wskazuje nam snop światła wydobywający dany fragment sceny.

Jako nowość wprowadza Gall, który w tej sztuce śmiało odrzucił pomoc kurtyny — służbę wnoszącą niezbędne akcesoria na scenę i włączył ją tym samym wprost do plastycznej kompozycji widowiska. Wchodzą odpowiednio ubrani pachołkowie i w rytmie ogólnym ruchów — ustawiają elementy dekoracyjne, np. stoły, krzesła, puchary.

Na takim tle zewnętrznym nabiera najwyższej ekspresji sama dykcja i gra artystów. Musi być doskonała, aby podołać zadaniu i tak zwartej konstrukcji sztuki nie rozbić, nie spaczyć, nie rozwodnić. Mimika i ruch u Galla są zawsze tak skomponowane i skoordynowane, że tworzą jakby szereg po sobie następujących i ewolujących ze siebie obrazów plastycznych, jednym słowem opierają się na elementach baletowych, nie dopuszczając nigdy przypadkowości, niezdecydowania, niedociągnięcia ruchu i fałszu w całości obrazu. Przeciwstawienie dwóch światów w grze artystów: zwiewnej, lirycznej Goplany oraz okrutnej i tragicznej Balladyny — było podkreślone dobitnie i doskonale. Jednak sama gra Balladyny może nasunąć zastrzeżenia. Jej okrucieństwo i czarność charakteru były potraktowane zbyt jaskrawo i jednolicie. Wspaniałe walory sceniczne młodej aktorki, u nas jeszcze nieznanej — Izabelli Wilczyńskiej — nie były dostatecznie wymodelowane. Piękny głos nieco nadużywany wśród ciągłego napięcia — nie mógł wydobyć z dość silną ekspresją najtragiczniejszych momentów. Balladyna — Wilczyńskiej od pierwszego momentu zarysowała się tak niesympatycznie twarda i opryskliwa, że chyba ślepym był Kirkor, gdy się w niej zakochał. Tragizm i wyrzuty sumienia u kobiety jednostronnie i całkowicie złej — nie były usprawiedliwione. Jej wyniosła postawa królewska w drugiej części sztuki byłaby przekonywająca, gdyby nie przeszarżowanie głosu.

Perczyńska w roli eterycznej Goplany była dobra. Idąc po myśli założeń Galla, byłoby lepiej, gdyby wyrażała się bardziej tanecznymi, baletowymi ruchami, Anna Jarecka-Skierka wypełniała całkowicie zadanie: była lekka, ruchliwa, zgrabna, taneczna. Barbara Krafftówna jako chochlik nieco przyciężka.

Aniela Świderska jako Alina, była pełna wdzięku, a H. Romanowska, młoda aktorka, świetnie odegrała rolę starej wdowy, z początku oszczędnej w ruchach, cichej, zgaszonej, później tragicznej o wysokim napięciu i doskonałej ekspresji wyrazu i dykcji.

Z ról męskich wybijali się na pierwsze miejsce: W. Kwaskowski w roli Grabca, stworzył z niego postać, mimo przepisowej gburowatości — tak pociągającą urokiem prymitywu i dobrodusznego humoru, że i Goplany gustom dziwić się nie można. Benoit jako pustelnik był jedyny i odpowiadał całkowicie naszym wyobrażeniom o tej postaci, zaś Maciejewski, mający już ustaloną sławę na Wybrzeżu, nie sprzeciwił się jej, oddając świetnie przewrotnego i podłego Kistryna.

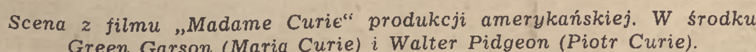
W całości obrazu plastycznego można wytknąć kilka momentów. Grabiec jako drzewo nie tworzył postaci estetycznej. Nie chodzi tu o prostotę środku użytego: kawałek pociętej zielonej tektury mającej imitować gałęzie, ale nieprzyjemne wrażenie wywoływało trzymanie jej w dwóch kułakach na brzuchu i zasłanianie nią tylko twarzy. Także sposób wnoszenia na scenę dużej zasłony na kijach przez dwóch pachołków dla odgrodzenia się od innych fragmentów i dla stworzenia bardziej zamkniętego obrazu zamku — nie jest szczęśliwym rozwiązaniem. Duch Aliny mógłby ukazać się przy ściemnionej scenie i odprowadzany promieniem światła, a nie schodzić potem na widownię, by wyjść jak każdy śmiertelny widz — jej drzwiami.

Nowoczesna muzyka E. Dziewulskiego podkreślała fantastyczność baśnii była doskonale zharmonizowana z widowiskiem.

Balladyna Galla jest bezwątpienia eksperymentem, ale eksperymentem wnoszącym przez swą zwartość i opracowanie do najdrobniejszych szczegółów pozytywne walory do rozwoju teatru. Łączenie prostoty nie koniecznej, ale dowolnie wybranej z wysoko posuniętą techniką świetlną i aktorską daje rezultaty szczęśliwe i prowadzi nas w nowe pojmowanie teatru. Znamiennym jest, że mimo wielu głosów krytyki i sprzeciwu sala jest codziennie pełna, a to na Wybrzeżu — rzecz niebywała.

Amelia Łączyńska.

Film o Curie-Skłodowskiej



Scena z filmu „Madame Curie" produkcji amerykańskiej. W środku Greer Garson (Maria Curie) i Walter Pidgeon (Piotr Curie).

Seria amerykańskich filmów biograficznych (np. znane sprzed wojny „Pasteur" i „Emil Zola") odznacza się w równym stopniu spłyceniem tematu, zbanalizowaniem fabuły i dialogów jak i wielką, pełną rozmachu realizacją. Obraz o Marii Curie-Skłodowskiej posiada wszystkie cechy amerykańskiej produkcji filmowej, tak w złym jak i dobrym znaczeniu tego określenia, a więc fabularny układ scenariusza, ze sporymi nieuzasadnionymi intrygami miłosnej, zespół doskonałych „gwiazd", interpretujących odtwarzane postacie w sposób raczej typowy, „pocztówkowy" nie pozbawiony w charakterze wewnętrznym, naiwne aforyzmy, dobre tempo, świetna technika zdjęć. Całość „lekko-strawna", lekko-sentymentalna, pouczająca i zrozumiała dla każdego odbiorcy.

Piękna Greer Garson odtwarza postać wielkiej Polki według hollywoodzkiego schematu, zbliżenia wydobywają jej nieprzeciętną urodę. Bliższą prawdzie i odcieniu europejskiego wzoru była rola Piotra Curie (Walter Pidgeon). Film cieszy się zasłużonym powodzeniem na polskich ekranach.

Sew.

»Jegor Bułyczow i inni«

w Państwowym Teatrze Śląskim

M. Gorkij: Jegor Bułyczów i inni — sztuka w 3 aktach, przekład St. R. Dobrowolskiego i St. Brucza, reżyseria Władysława Krasnowskiego, dekoracje Jerzego Szeskiego. Premiera w Teatrze Państwowym im. St. Wyspiańskiego w Katowicach 6. 12. 1947 r.

Twórczość Maksyma Gorkija związana jest najściślej z okresem przeszło czterdziestu lat literatury rosyjskiej, w której już w ostatnich latach XIX w. zajmował jedną z czołowych pozycji, by po rewolucji październikowej stanąć na czele ruchu literackiego Rosji Radzieckiej, przyjąć na siebie rolę wychowawcy młodych, proletariackich pokoleń literackich i teoretyka nowych prądów artystycznych, głównego prawodawcy realizmu zwanego socjalistycznym. Jedenaście lat dzielących nas od jego śmierci, nie przyćmiły tej sławy i nie umniejszyły znaczenia, jakie ma jego dzieło artysty i teoretyka. A było to znaczenie przełomowe. Bez udziału Gorkija, bez pracy jego myśli i jego artyzmu, bez jego olbrzymiego autorytetu literatura radziecka nie byłaby dzisiaj tym, czym jest. On bronił wielkiej klasycznej tradycji literatury, przeprowadzając równocześnie jej głęboką i mądrą krytykę, on też wyznaczał literaturze swojego narodu nowe drogi i cele.

Główna siła wielkiego talentu Gorkija leży w prozie, w opowiadaniach i powieści, które świetnie ukazują jego trudną drogę w kierunku nowego realizmu, w pięknym cyklu autobiograficznym a na drugim dopiero planie stoi jego twórczość dramatyczna, jakkolwiek i tu osiągnął duży sukces artystyczny swymi pierwszymi sztukami „Mieszczanie" i „Na dnie", które powstały nie bez wpływu Czechowa. Na wybór „Jegora Bułyczowa" dla sceny katowickiej wpłynął niewątpliwie fakt, że sztuka ta związana jest z rewolucją październikową, że ukazując narastanie nastrojów rewolucyjnych w społeczeństwie rosyjskim i dając zarazem rozległy obraz rozkładu mieszczaństwa rosyjskiego ma swoje uzasadnienie repertuarowe w czasie gdy obchodzona była 30 rocznica historycznego dla Rosji przewrotu.

Dziwny tytuł „Jegor Bułyczow i inni" wskazuje zgodnie z treścią sztuki, że nie chodzi tu Gorkiemu bynajmniej o skoncentrowanie akcji i zainteresowania widza na jednej postaci i jej losach. Taki sam tytuł dałby dziennikarz pisząc sprawozdanie z wielkiego procesu. Może brzmiało by to: „Proces Bułyczowa i towarzyszy". A Gorkij także przeprowadzał proces, w którego zakończeniu ukazuje perspektywę wyroku. W jego sztuce dokonuje się sąd nad ludźmi, którym walkę wypowiedziała rewolucja. Nad całą gromadą ludzi, nad całą warstwą społeczną, jej odgałęzieniami i satelitami, nad rosyjskim mieszczaństwem zdemoralizowanym do gruntu pieniądzem i wojną. Świadkami oskarżenia w tym procesie są ludzie, którzy zrozumieli konieczność przebudowy istniejącego świata, ale wśród których nie wszyscy jeszcze uświadomili sobie konieczność przebudowy rewolucyjnej. W szeregach wybuchającej rewolucji, która w ostatniej scenie przesuwa się za oknami pędzącego ku katastrofie mieszczańskiego domu, znajdzie się Łaptiew, gajowy Donat, pokojówka Głafira, proletariacki inteligent Tiatin a razem z nim jedna z córek Bułyczowa, Aleksandra. I wiecie kto jeszcze? Mąż drugiej jego córki, Zwonow, kanalia ostatniego rzędu, która już zdołała sobie przyswoić rewolucyjne frazesy i nastawia się na uprawianie swoich spekulanckich procederów w nowych warunkach, nauczona wojennym doświadczeniem wykorzystywać czasy wstrząsów i przełomów. Sam Bułyczow umiera. Wykazał stosunkowo najwięcej postępowej myśli, głębszej i bardziej niż u innych dojrzałej, był takim samym wrogiem swej warstwy, jak rewolucjoniści, przeżył swe życie „na innej ulicy", wśród obcych sobie ludzi szukając kochanek i bratając się z prostym ludem, ale gdy za oknami ukazuje się czerwony świt nowego czasu — umiera w ciemności, nie widzi niczego, nie dostrzega przed narodem drogi.

Obraz rozkładu moralności rodzinnej i moralności społecznej mieszczaństwa jest w sztuce Gorkiego ponury, nakreślony z pasją surowego krytyka i reformatora. Żona Bułyczowa, Ksenia, której zamążpójście jest dziełem jej siostry, przeoryszy Melanii, dawnej kochanki Jegora, razem z córką Barbarą, jej mężem i swym dawnym konkurentem Baszkinem, który jeszcze ma ochotę na zajęcie miejsca umierającego Bułyczowa, to obóz pieniądza, bezwzględnej, plugawej, nie cofającej się przed niczym walki o grosz. W tej walce nie szanuje się ani najbliższych, ani społeczeństwa. Przedmiotem spekulacji na zysk jest dla nich wszystko i wszyscy. Dołącza się do nich jeszcze przeorysza Melania, która wraz z popem Pawlinem „świętobliwym" Propetiejem reprezentują głębokie schorzenia życia religijnego, przy czym Gorkij czyni z dwóch pierwszych postaci fanatyczne sługi caratu. Rodzina Dostygajewa to osobne oblicze mieszczańskiej burżuazji. Na ich stylu życia ciąży przeklęty, leżący we krwi, czy też tylko przywłaszczony sobie spadek ziemiaństwa. Rodzice to snoby i sybaryci, dzieci wykolejeńcy i dekadenci. Uzupełnia ten beznadziejny obraz galeria typów ludzi, którzy na nich żerują lub służą im za narzędzie ich łajdackich intryg. Tamte jednak typy to raczej reprezentanci chłopskiej ciemnoty.

Surowa krytyka i pasja reformatora jest w nakreśleniu tego obrazu. Tak, ale nie ma w nim artystycznej równowagi i pełni, szwankuje strona dramatyczna. Zamówienie społeczne, którego sztuka ta jest niewątpliwie rezultatem, nie zaangażowało w dostatecznym stopniu wyobraźni artysty. Olbrzymia i wszechstronna wiedza o człowieku, jaką dysponował Gorkij, wystarczyła by dać sztuce treść bogatą, by w kilku postaciach błysnąć mistrzostwem charakterystyki i by dać szereg konfliktów i sytuacji wstrząsających widzem do głębi. Ale całość wyszła poza ramy dramatu. Stała się rozległym, przeładowanym szczegółami malowidłem realisty, zdradzającym wyraźnie brak dramatycznej koncentracji i dynamiki. Ten brak Gorkij wyraźnie nadrabia efektami scenicznymi, którymi kończy akty. Równocześnie wprowadza wątki, które gubią się po drodze i nie dochodzą do właściwego rozwinięcia. I jest jeszcze brak jeden: niektóre charakterystyki rzucane są tylko grubą prymitywną kreską. Argumentacja krytyka ich reformatora w ferowaniu wyroków jest w kilku wypadkach zbyt uproszczona. [illegible] „Wielkiego Maksyma" [illegible] dramatycznej [illegible] gatunku „Na dnie" (1902), grane [illegible] w Berlinie.

Teatr katowicki przeliczył się trochę ze swoimi możliwościami personalnymi wystawiając w przestrzeni krótkiego stosunkowo czasu po „Krakowiakach i góralach" drugą wieloosobową sztukę, w której każda rola wymaga aktora i reżysera, gdzie nic nie wygra się samo. Kilka czołowych ról otrzymało doskonałe, czasem wręcz świetne wykonanie: Bułyczow (*Krasnowiecki*), Ksenia (*Cieszkowska*), Aleksandra (*Krasnowiecka*), Melania (*Jabłonowska*), równie dobrze wypadły dwa, może trzy epizody, reszta ról na średnim poziomie przy kilku zupełnie nie do przyjęcia, źle obsadzonych, nie opracowanych aktorsko. Dykcja wielu aktorów pozostawiała dużo do życzenia. Cały, normalnie trwający spektakl, dłużył się niepomiernie. Kreacja aktorska Krasnowieckiego wybijała się, ale też wskutek tego na plan pierwszy wysuwał się indywidualny problem Bułyczowa, jego tragedia osamotnienia i nieuniknionej śmierci, ze szkodą dla problemu zbiorowego. Całość przedstawienia pozbawiona była typowej, niezbędnej dla tego rodzaju sztuk atmosfery, którą udało się reżyserowi stworzyć w kilku tylko scenach. Dekoracje *Jerzego Szeskiego*, którego zalety poznaliśmy już na scenie sosnowieckiej, niczym się nie wyróżniły, a rozwiązanie perspektywiczne drugiego planu, tak ważne dla finału sztuki, było zupełnie prymitywne.

Zdzisław Hierowski

Gustaw Rasiński obchodził w Szczecinie 50-lecie pracy scenicznej. Urodził się 9 września 1878 w Końskiem. Karierę artystyczną rozpoczął w Częstochowie za dyr. Puchniewskiego. Dwa lata grał w Krakowie u Kotarbińskiego. W r. 1902 wyjeżdża do Lwowa, gdzie zostaje do r. 1946, po czym wyjeżdża do Szczecina.

Ruch wydawniczy

Wietrznego losu faworyci;
Tyrani świata, drżyjcie dziś!
A wy, odważną przejęcze myśl,
Powstańcie, nędzni niewolnicy.

Gdzie spojrzeć, pełno strasznych spraw,
Kajdany wszędzie, wszędzie bicze,
I łzy niemocy niewolniczej,
I zgubna hańba carskich praw!

Fragment puszkinowskiej ody „Wolność" z pięknej książki „Dwa wieki poezji rosyjskiej", wydanej nakładem „Czytelnika". Książka ta zawiera przekłady 63 poetów rosyjskich, dokonane przez wybitnych pisarzy polskich. Liczne portrety poetów rosyjskich zdobią tę najpiękniej wydaną książkę poetycką po wojnie.

Michał Szołochow, jeden z największych epików w literaturze sowieckiej, jest autorem „Cichego Donu", który wyszedł nakładem „Czytelnika".

*

Należy do nas wszystkich. Należy do wielkich i małych, do możnych i słabych, bogatych i bezdomnych, świeckich i duchownych, do ludzi ze wszystkich stronnictw politycznych. Należy najpierw do Krakowa, ale należy także do całej Polski. Gdyby był działał gdzieś na Zachodzie, pisano by jego życiorysy we wszystkich językach, bo kto wie, czy po świętym Franciszku z Assyżu znalazł się na przełomie XIX i XX wieku człowiek, który by dla franciszkańskiego tak dosłownie i tak ofiarnie, heroicznie wcielał w swe życie, jak on, Adam Chmielowski, Brat Albert.

Ze wstępu do cennej ostatniej już niestety książki ks. Konstantego Michalskiego o Bracie Albercie, wydanej przez Krajową Centralę Caritas. (str. 202).

*

Powojenna produkcja wydawnicza Wojciecha Bąka, poety tak często niedocenianego na współczesnej giełdzie literackiej, jest niemała. W tej chwili nakładem Władysława Bąka wyszła jego powojenna książka, tragikomedia, wystawiona niedawno w Poznaniu, „Sługa Don Kiszota" (str. 97). Twórczość Wojciecha Bąka zasługuje na rozpowszechnienie i uwagę tak czytelników jak krytyków, którzy żywią do tego autora dziwną niechęć.

*

„Wybraliśmy się do Krakowa celem nazbierania książek polskich dla naszego towarzystwa — opowiada w swym pamiętniku Andrzej Cinciała — dnia 14 sierpnia 1847 wyszliśmy tedy z Cieszyna, napiwszy się wódki i nabrawszy gruszek do kieszeni."

W celu upamiętnienia tej słynnej wyprawy po książkę polską, do Krakowa, której setna rocznica wypadła w roku bieżącym, Macierz Szkolna Ziemi Cieszyńskiej wydała książkę zbiorową p. t. „Ziemia Cieszyńska w drodze do Polski ludowej" (str. 48).

Rysunek z pogodnej opowieści dla młodzieży „Turul król karpackiej puszczy", której autorem jest Józef Bieniasz. Powieść ukazała się nakładem T. Gieszczykiewicza (str. 118).

Poli Gojawiczyńskiej „Ziemię Elżbiety", najlepszą powieść o Śląsku, w okresie sanacyjnego optymizmu palono w Katowicach na stosie. Dobrze, że wyszło teraz jej drugie wydanie (nakładem „Wiedzy"). Może ono być pomocne w dyskusjach na tematy śląskie, może usprawiedliwi tysiące Ślązaków za winy, które spowodowało twarde i trudne życie, niesprawiedliwy porządek społeczny, bliska i nęcąca granica.

Jan Sztaudynger (według rysunku Władysława Hofmana) wydał nowy tom wierszy p. t. „Strofy wrocławskie". Książkę o dobrym opracowaniu graficznym Jana Wroniewskiego wydało poznańskie „Wydawnictwo Zachodnie" (str. 77).

Wśród czasopism

W miarę jak rosną lata naszej demokracji, która w swoich podstawowych założeniach przewiduje również upowszechnienie kultury, sprawa tej powszechności komplikuje się przede wszystkim na skutek sytuacji materialnej społeczeństwa. Poziom zarobków ludzi żyjących z pracy rąk i mózgów stoi wciąż jeszcze poniżej linii, która wyznaczałaby jakąś możliwą do przyjęcia średnią zasadniczych potrzeb. Sytuacja ta wybitnie pogarsza szanse usiłowań zmierzających do tego, by kultura we wszystkich swoich zasadniczych przejawach i formach docierała do szerokich kręgów społeczeństwa, by można systematycznie i poważnie pracować nad doskonaleniem wymagań i rozwijaniem potrzeb kulturalnych tych kręgów.

Jednym z naszych zagadnień kulturalnych, które wciąż jest w pewnym sensie w stadium pogłębiającego się kryzysu, jest sprawa książki i jej upowszechnienia. Nie zdołano wprawdzie rozwiązać, ale zdołano w każdym razie powstrzymać pogarszanie się sytuacji podręcznikowej, dotychczas zresztą przede wszystkim w granicach szkoły powszechnej. Natomiast kwestia książki literackiej i popularno-naukowej przedstawia się coraz gorzej. Ostatnie miesiące potwierdziły uwagi sprzed dwóch lat, gdy ostrzegano przed zbytnim optymizmem wyprowadzanym z wysokich jak na nasze stosunki nakładów pierwszych książek. Nakłady te, jeśli chodzi o beletrystykę, powieść, nowelę, zmalały się na poziomie przedwojennym, który uważaliśmy zgodnie za katastrofalny; znów drukuje się 3000 i 4000 nakładu i znów sprzedaje się go w tempie, które nie tylko wydawcy nie zadowala. Wołanie o ustawę biblioteczną, czyli o rozporządzenie wykonawcze do ustawy już istniejącej, staje się coraz słabsze wobec faktu, że nikt na nie reaguje. Książka będąca prywatną własnością czytelnika staje się zjawiskiem coraz rzadszym, staje się luksusem, wskaźnikiem wysokiej stopy życiowej posiadacza.

Ten cały wstęp służy po prostu za wprowadzenie do aktualnej ostatnio, dzięki inicjatywie „Czytelnika", sprawy Klubów Literackich i Klubów Dobrej Książki. Jest to mało u nas dotychczas praktykowana przez wydawców forma rozprowadzania wydawnictw. O ile mnie pamięć nie myli, były pewne w tym kierunku próby, z których jedna, zdaje się, nosiła kiedyś tytuł Biblioteki Domu Polskiego, ale ta pamięć równocześnie mówi mi, że były to próby mizerne. Przynosiły rzeczywiście książkę tanią, ale na ogół mało wartościową. Bez żalu stwierdzam, że wojna wyczyściła mi ostatecznie księgozbiór z kilku pozostałości takiej inicjatywy wydawniczej. Dziś „Czytelnik", nie nawiązując do tamtych rodzimych, mało ciekawych wzorów, sięgając natomiast po wzory zagraniczne, przede wszystkim zdaje się czechosłowackie, podejmuje próbę nową i to nawet nie jako malum necessarium, mające na celu poprawę sytuacji wydawcy, lecz jako zamierzenie, mające na celu wprowadzenie niemal u nas nieznanej, nowoczesnej i na zachodzie szeroko stosowanej formy zaopatrzenia tzw. publiczności literackiej w książkę. Próba powinna się udać. Na początek, orientując się według ogłoszonych projektów, stwierdzamy dwie jej zalety, które każą darzyć ją zaufaniem: stosunkowo poważne, sięgające powyżej 30 % obniżenie ceny oferowanych w prenumeracie książek, oraz ich nie budzącą wątpliwości wartość literacką. Akcja skupiona jest dotąd przy dwóch czasopismach: „Odrodzeniu" i „Przekroju". Czytelnicy tych pism mają możność zaprenumerowania po serii sześciu książek powieściowych polskich i tłumaczonych. „Odrodzenie" z literatury polskiej daje nowe powieści Nałkowskiej i Dygata, ponadto po jednym przekładzie z następujących literatur: czeskiej (wybitny powieściopisarz współczesny Wacław Rzezacz), radzieckiej (Efendi Kapijew), amerykańskiej (Erskine Caldwell) i francuskiej (Roger Vailland). Czytelnicy „Przekroju" otrzymują trzech autorów polskich Ksawerego Pruszyńskiego, Jerzego Andrzejewskiego i Kornela Filipowicza, autora, który debiutował właściwie dopiero po wojnie, zwracając na siebie od razu uwagę dojrzałością swego talentu. W tej serii literaturę radziecką reprezentuje Wiktor Niekrasow powieścią „W okopach Stalingradu", czeską Maria Pujmanová książką, która zyskała tej pisarce nagrodę państwową r. 1937, „Ludzie na rozstaju", angielską John B. Priestley. W obydwu seriach prawie nie ma pozycji, po którą kulturalny czytelnik nie sięgnąłby z zainteresowaniem, którą chciałby z góry wykreślić z programu swojej lektury. Poziom literacki obydwu serii jest równy, nie ma w nich różnic, jakie przecież istnieją pomiędzy popularnym magazynem, jakim jest „Przekrój" a czołowym tygodnikiem literackim, jakim jest „Odrodzenie". To również wzbudza zaufanie do podjętej inicjatywy.

Rzecz oczywista, że od Klubów Książki do prawdziwego upowszechnienia książki droga jest daleka. Nawet sprzedawanie książek na raty po 150,— zł miesięcznie nie rozwiązuje zagadnienia dotarcia jej do szerokich mas. Ale to już pewien krok naprzód. Od przyjęcia się tej inicjatywy zależeć będzie, jak wielki okaże się ten krok. Powodzenie tej akcji przyniesie niewątpliwie uznanie wydawcy i pomnoży ilość serii, umożliwiając równocześnie czytelnikom nabywanie książek według specjalizacji (np. serie popularno-naukowe, chociaż trudno się oprzeć marzeniom np. o ładnej serii poetyckiej).

Jeszcze jestem winien czytelnikom kilka uwag o ostatnim zeszycie „Twórczości", przy czym uwagi te nie mają zwalniać z lektury, gdyż dotyczą tylko pewnej kwestii, która czytelników „Odry" niewątpliwie bliżej zainteresuje. Chodzi o sprawę oceny powieści Antoniego Gołubiewa o Bolesławie Chrobrym. Polemika pomiędzy Żukrowskim a Bednorzem dotyczyła zagadnienia, kto jest w powieści Gołubiewa „ważniejszy", kto jest jej bohaterem: naród czy jego wódz Bolesław, czy onże Bolesław przekształca naród, czy też rola i dzieło Bolesławowe wyrasta z dążeń narodu. Głos swój do tej polemiki dorzuca w „Twórczości" Kazimierz Wyka w obszernym omówieniu książki Gołubiewa. Omówienie to potraktowane jest obszernie i wszechstronnie z wyraźnym zamiarem wprowadzenia pewnego porządku w chaos sądów, które na marginesie tej niezwykłej książki zostały wypowiedziane i które krążąc czynią z jej autora z jednej strony przedmiot entuzjastycznych owacji, z drugiej zaś cel zaciętych ataków, odsądzających dzieło jego niemal od czci i wiary. Wyce rzeczywiście udało się uporządkować zagadnienia i wydać wyrok salomonowy, biorący pod uwagę wszystko, co można powiedzieć pro i contra tej epopei. Nie wylewa dziecka z kąpielą i ratuje honor Gołubiewa spokojnie i rzeczowo, bez uprzedzeń i bez zachwytów, przed tymi, którzy oceniali rzecz zbyt jednostronnie zarówno z nadmiernym aplauzem, jak i z nadmierną naganą. Spór o to, czy powieść ta jest pieśnią o narodzie, czy pieśnią o Bolesławie, przechyla na stronę pierwszej koncepcji krytycznej i umie tę swoją decyzję poprzeć przekonującymi argumentami wyprowadzonymi z analizy dzieła. Koncepcję Bednorza określa w przypisku ostro jako nonsens nie zasługujący na dyskusję i uważa, że jego wywody wyglądają tak, jakby ktoś pisząc o „Pamiątkach Soplicy" Rzewuskiego chciał udowodnić, że jest to powieść wymierzona w sarmatyzm. Wyka specjalnie wskazuje na fakt, jak realnie i precyzyjnie widzi i ukazuje Gołubiew przyczynowość dziejową, psychologiczną i myślową epoki, jak i dokładny i szczegółowy jest obraz narodu w jego niezwykle skomplikowanej i bogatej strukturze społecznej. „Tę wizję zamierzchłej codzienności — pisze — wizję surową i daleką od sielanki, udało się Gołubiewowi powołać do życia w sposób, który z tych kart jego utworu czyni karty dotąd niespotykane w naszej powieści". Przy takim postawieniu sprawy widzi jednak Wyka braki artystyczne tego obrazu. Braki te to „okrojone dziedzictwo filozoficzne po Żeromskim" (prymitywizowany biologizm Żeromskiego), to ślady silnej zależności Gołubiewa w kompozycji i stylu od przebrzmiałych wzorów Młodej Polski. Wyka spokojnie wylicza litanię błędów Gołubiewa, błędów natury artystycznej, ale przy omawianiu zalet nie cofa się przed użyciem słów, które dają Gołubiewowi najwyższą satysfakcję. Ponieważ wyliczył niedomagań sporo i to czasem grubszego gatunku, stwierdza na końcu, że Gołubiewowi oberwało się dlatego tak mocno, że można wiele od niego jako od pisarza, jako od artysty wymagać. Należy przede wszystkim przy takim kapitale, jakim Gołubiew dysponuje, wymagać wysokiego stopnia samowiedzy artystycznej.

Wyka swoim zwyczajem odczekał burzę w szklance wody literackiej i pokusił się o bilans ukształtowany sądem własnym, odrzucającym z dotychczasowej krytyki Gołubiewa to, co niesłuszne i wątpliwe, podkreślającym orzeczenia sprawiedliwe. Nie przyjmuje i nie odrzuca sądów innych bez wyraźnego uzasadnienia. Posługuje się obficie cytatem, co ogromnie ułatwia czytelnikowi zrozumienie jego argumentacji krytyka. Sam autor i czytelnicy tego książki winni mieć z tego studium Wyki dużą korzyść. Ale podobno uczeń i zapalczywy magister podobno pogodzili się już ze sobą. (ki)

„DOM OTWARTY" we Wrocławiu

Po nieudałych eksperymentach z zawodowym teatrem ochotniczym wrocławska OKZZ zdecydowała się z końcem sierpnia br. oddać salę Teatru Popularnego do dyspozycji Państwowego Teatru Dolnośląskiego, zastrzegając sobie tylko pewną ilość wieczorów na przedstawienia teatrów świetlicowych.

Państwowy Teatr Dolnośląski, który już pod koniec uprzedniego sezonu rozszerzył „pole działania" na scenę kameralną Teatru Lalki i Aktora i pod tym kątem widzenia układał projekty repertuaru na sezon 1947/48, stanął nagle wobec dużo ważniejszego zadania uruchomienia sceny popularnej i musiał w krótkim przeciągu czasu przestawić odpowiednio swój repertuar.

Na otwarcie sezonu w Teatrze Popularnym OKZZ wybrano M. Bałuckiego „Dom Otwarty" w pomysłowej reżyserii **Mariana Godlewskiego** i pełnej humoru gry zespołu. Sytuacje i typki wyciągnięto, odświeżono i nawet miejscami domalowano. Nie obeszło się i bez lekkiej szarży, ale czyż typki i sytuacje Bałuckiego nie wymagają małego skarykaturowania scenicznego? Czyż sylwetki elegantów i modniś z tej epoki nie wydają się nam karykaturami, nawet w najpoważniejszych chwilach ich życia?

Dobrze ujętych sylwetek widzieliśmy we wrocławskim spektaklu sporo: Zadzierżysty, ciepły wewnętrznie wuj Telesfor **(Marian Nowicki)**, pełen temperamentu i pomysłowy w ruchach fikalskich **Bronisław Broński)**, umiarkowany i wytworny Zaleski **(Jan Korczyński)**, detektyw małżeńskiego szczęścia zabawnie tajemniczy Wicherkowski **(Wacław Zdanowicz)**, rozkoszna modnisia **fin de siecle'u"** Pulcheria **(Maria Uchowicz**, pełna energii, świetna w geście i mimice Ciuciumkiewiczowa **(Antonina Dunajewska)**, wnoszący niepokój na scenę Malinowski **(Henryk Różgiewicz)**, nieco zbyt „amantowaty" Wróbelkowski **(A. Chronicki)**, i leciutki, miły w obejściu Bagatelka **(B. Orlicz)** tworzyli barwną i urozmaiconą galerię typów.

Olena Królikowska znalazła się w odpowiedniej dla siebie roli anielsko dobrej Janiny, natomiast **Maria Chodecka** była nieszczęśliwie obsadzona w roli Kamilli. (Po za tym miałbym duże zastrzeżenia do nieefektownych i niestosowanych do figury tej artystki toalet). W roli Adolfa zobaczyliśmy **Juliana Przybylskiego** i doprawdy po tej mdłej roli nic nie można o tym artyście powiedzieć. **A. Fogel** jako Ciuciumkiewicz dowcipnie podawał kwestie, ale tak unieruchomił sobie twarz „przebudowaną" charakteryzacją, że mimika zupełnie się zatraciła pod grubą warstwą szminki. Czwórka córeczek pana Ciuciumkiewicza niestylowo ubrana i znacznie przeszarżowana w „różnorodności" pobrzydzania się, nie wywoływała, zwykłej przy pojawieniu się „fornalki", wesołości na widowni. Natomiast **Jerzy Sobieraj** w roli Fujarkiewicza, doskonały w przestrzeganiu małomiasteczkowych zasad **„savoir vivre'u"** był bardzo zabawny, mimo kilku niewybrednych „efekcików" ze szczegółami garderoby, (żywcem wziętych z tanich, amerykańskich filmów). Stylowy w sylwetce służący **(Feliks Dobrowolski)** zbyt mało szacunku okazywał dla swych chlebodawców w II akcie: noblesse oblige odnosi się i do służby.

Należy jeszcze wspomnieć o lokaju w wykonaniu **M. Mroczka**, który „odrabiał" swą służbę z przekomiczną miną pełną pogardy dla zebranego towarzystwa, i o najzabawniejszych choć milczących postaciach przedstawienia: Piernikiewiczu i Ślizakowskim w wykonaniu doskonałych tancerzy - pantomimistów **J. Pytkowskiego**, bardzo dowcipne w „zorganizowany chaosie". Oprawa sceniczna **Jadwigi Przeradzkiej**. Secesyjna i pełna swoistego wdzięku.

Wojciech Dzieduszycki

Motto: Kociubińska wraz z Gżegżółką powtarzają jedno w kółko.

W kilku pióra dzikich pląsach
tworzy dramat Ildefonds, a
młodzież szkolna miast się uczyć
pisze teatralne sztuki,
mówiąc, że to bardzo łatwo
żyć z teatru.

K. W. August

Warsztat pisarzy

Śląsk

Jan Baranowicz, poeta i dramaturg, przygotował do druku nowy tom wierszy pt. „Łąka skowronków", obejmujący dorobek poetycki ośmiu z górą lat.

Zbyszko Bednorz, poeta i publicysta, pisze powieść dla Wydawnictwa Zachodniego, poruszającą problem scalania się grup ludnościowych na Ziemiach Odzyskanych.

Księga jubileuszowa

Księga Pamiątkowa Państwowego Gimnazjum i Liceum w Rybniku, wydana przez Komitet Obchodu XXV-lecia zakładu. Rybnik 1947 r. Str. 196, ilustr. 130.

Nie według utartych szablonów została napisana Księga Pamiątkowa. Wydana z okazji jubileuszu Państwowego Gimnazjum i Liceum w Rybniku — daje czytelnikowi na tle 25-letniego życia szkoły przekrój przez życie polskiego Śląska, Śląska młodego.

Przeszło połowa Księgi Pamiątkowej to dzieje uczniów i profesorów gimnazjum rybnickiego, którzy bądź też walcząc na wszystkich odcinkach w kraju i za granicą, dostąpili szczęścia oglądania wolnej Ojczyzny. złożyli swe życie w ofierze Ojczyźnie

Pierwsze rozdziały mówią nam o 58-miu poległych i zamęczonych w [illegible]

Dalsze rozdziały — ukazują nam wychowanka i wychowawcę uczelni rybnickiej wszędzie tam, gdzie Polak walczył i żył dla Polski podczas siedmiu lat niewoli. Mamy więc opis walk w powiecie rybnickim w 1939 r. Mamy obrazy „Z dalekich szlaków wojny", z Egiptu i Libii, Tobruku i spod Monte Cassino i nawet z nad Oceanu Indyjskiego. Widzimy Rybniczan w partyzantce, w walkach o Warszawę, za drutami obozów i wreszcie pod wrogim mundurem, przeżywających tragedię i gotujących zemstę.

Oto karty, które są świadectwem polskości Śląska.

Ostatnie kartki Księgi Pamiątkowej rozwijają przed nami obraz pracy gimnazjum rybnickiego w dobie powojennej. Lata 1945 — 1947 to okres krótki wprawdzie, ale za to okres wytężonej pracy nad odbudową odrodzonej szkoły polskiej. Poprzez trudy pierwszych miesięcy, gdy szkołę trzeba było dosłownie z gruzów podnieść, poprzez zmagania natury materialnej i duchowej — szło gimnazjum rybnickie ku lepszej przyszłości, ku pozytywnym osiągnięciom.

Księga Pamiątkowa zawiera bogaty materiał ilustracyjny. Są to podobizny bohaterskich uczniów i profesorów, autentyczne zdjęcia z frontów, zdjęcia z powstań śląskich a wreszcie wiele obrazków z różnych odcinków życia szkolnego. Pięknie wykonana, barwna okładka jednoczy w sobie elementy treściowe Księgi: Polski orzeł piastowski i herb miasta Rybnika stanowią poważne tło dla uczniowskiego znaku i tytułu Księgi.

Państwowe Gimnazjum i Liceum w Rybniku jest chyba jedyną szkołą w Polsce, która w tak piękny i godny uznania sposób uczciła swoich bohaterów. Choć więc Księga Pamiątkowa ma charakter lokalny — staje się cennym dokumentym historycznym i z tego punktu widzenia ocenia nia powinna znaleźć się w bibliotekach wszystkich szkół polskich.

Mk.

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. Młyńska 9. Tel. 31059.
R 5408

Polski Kongres Polityczny we Wrocławiu

Dr Marian Tyrowicz
Polski Kongres Polityczny we Wrocławiu 1848 r. Kraków — Czytelnik 1946. str. 110.

Naczelnym problemem polskiej polityki porozbiorowej było dążenie wszelkimi drogami do odzyskania niepodległości oraz przetrwania jako zespół narodowy. Uznano wiosnę ludów za moment najdogodniejszy do walki z carską Rosją. Uwierzono w pomoc zrewolucjonizowanej, demokratycznej Europy, dla walki Polaków o niepodległość. W momencie najwyższych nadziei, w kwietniu 1848 r. kilka polityków z obozu koncentracyjnego pomyślało o porozumieniu komitetów rewolucyjnych Poznania, Krakowa i Lwowa w celu stworzenia jakiegoś wspólnego organu centralnego na całą Polskę. Ze wschodu na bliskość wszystkich dzielnic grono obywateli, którzy znalezli się we Wrocławiu, uznało ten punkt za najdogodniejszy. A że Wrocław był także ośrodkiem przygotowań wojennych Centralizacji Emigracyjnej, przeto i ten obóz siłą rzeczy zainteresował się tą kwestią. Przygotowania do zjazdu i jego przebieg są właśnie przedmiotem studium monograficzno-analitycznego dr Tyrowicza. Autor skreślił obraz konfliktów między dążeniami różnych zgromadzonych we Wrocławiu obozów politycznych. Wikłały się plany i ambicje zarówno kraju, jak emigracji, lewicy i prawicy zarówno krajowej jak emigracyjnej, wreszcie — dzielnic między sobą. Zanim doszło do właściwych rozmów koordynacyjnych w dniach 5 — 7 maja 1848 r., sytuacja zmieniła się całkowicie. Prysnęły nadzieje na pomoc zrewolucjonizowanych Niemiec. Reakcja niemiecka zgniotła odruchy powstańcze. Nie było już celu tworzenia jakby centralnego rządu powstańczego. Na ten moment zwrócono uwagę w recenzji kompetentnego historyka. Nawet lewica krajowa uznała za ważniejsze interesy regionalne i dlatego zapewne rozleciał się, utworzony przez nią Komitet Centralny Polski. Zjazd rozszedł się z niczym. Doszło tylko do ogłoszenia odezwy zjazdu do reprezentantów wolnych ludów, z dn. 8 maja. Zredagował ją Cieszkowski. Żądał w niej ugruntowania polityki na etyce chrześcijańskiej, ograniczenia zbrojeń, ustanowienia „społecznego porządku między narodami". Wyrażano tam wiarę że: ani myśleć o ustaleniu porządku w Europie inaczej, jeno przez wolne, przyrodzone i normalne rozwinięcie każdej narodowości, to jest przez nastanie prawa powszechnego dla ludu . . . ustalenie porządku społecznego w pojedynczych krajach przez wolne, przyrodzone i normalne rozwinięcie wszystkich stanów i żywiołów społeczeństwa... „Wreszcie nawoływano do ustanowienia rozjemczego między narodami forum" i połączenia ich świętym przymierzem ludowym ku wspólnemu wspieraniu się, ku zgodnemu osiągnięciu celu społeczeństwa ludzkiego. „Szkoda, że autor w aneksach nie przedrukował owej proroczej odezwy Cieszkowskiego ze względu na jej realność i zapomnienie o roli Cieszkowskiego w 1848 r. O ile wiadomo nam z zachowanych źródeł i rekonstrukcji autora, brak było w obradach wrocławskich wszelkiej problematyki społecznej. Co więcej, uderza nas — ze względu na miejsce obrad — brak udziału przedstawicieli Śląska i poruszenia spraw śląskich. Ani prawica, ani lewica, ani kraj ani emigracja nie poruszyły zagadnień śląskich. To pominięcie ich jest symptomatyczne dla myśli politycznej ówczesnej generacji.

Wbrew twierdzeniu autora wydaje się, że niedokończona lekcja wrocławska poszła na marne. Zresztą głównie z winy przemożnych sił zewnętrznych. Gdyby sytuacja zewnętrzna pozwoliła na podjęcie realnej akcji konsolidacyjnej, eksperyment mógłby być przeprowadzony. W odniesieniu do koncepcyj autora pojawiły się już głosy podważające je. Ostatnie słowo nauki w tej sprawie nie zostało jeszcze wypowiedziane. Ale czy uda się odnaleźć nowe materiały — to kwestia nasuwająca poważne wątpliwości, ze względu na ogromne zniszczenia naszych zbiorów dokumentów. Omawiana praca dr Tyrowicza, uwzględniająca dostępny w tej chwili materiał źródłowy, stanowi dla badaczy cenny punkt wyjścia do dyskusji nad zawisłościami 1848 r., a dla popularyzatorów i nauczycieli wdzięczny przedmiot analizy drobnego, ale skomplikowanego epizodu historii porozbiorowej, zawierającego w miniaturze węzeł sprzecznych dążeń i poglądów naszych obozów politycznych i ich leaderów przed 100 laty.

Witold Jakóbczyk

Nietzsche

Wina Nietzschego jako prekursora hitleryzmu jest oczywista. Niżej przytoczone cytaty nie mają za zadanie wybielania go. Choć był człowiekiem o wielu obliczach, nie znaczy to, abyśmy go nie sądzili za to jedno oblicze, które było bezsprzecznie złe. Gdyby żył w czasach dzisiejszych, nie śmiałby zostać zdenazyfikowany. Sądy Nietzschego o Niemcach, dosadne i trafne, świadczą o jego ostrości patrzenia, ale nie świadczą o jego niewinności.

Niemiec rozumie się na manowcach, prowadzących do zamętu. I tak, jak każda rzecz lubi swoją parabolę, tak Niemiec lubi chmury i wszystko, co nie wyraźne, co mroczne, co wilgotne, zasłonięte.

*

Dobroduszność i zdradzieckość, coś, co u innych narodów wydaje się absurdalne — usprawiedliwia się niestety tak często w Niemczech.

*

Zgłupienie dzisiejszych Niemiec to: raz antysemityzm, raz antyfrancuska głupota, raz antypolska, to znów chrześcijańsko-romantyczna, wagnerowska, teutońska, pruska.

*

Brak wychowawców i stąd upadek niemieckiej kultury. To, co w Niemczech „wyższa szkoła" istotnie osiąga, to tylko brutalna tresura, by w stosunkowo krótkim czasie wydać niezliczoną ilość młodych mężczyzn pożytecznych — a wyzyskiwanych — dla służby państwa. „Wyższe wychowanie" a nadmierna ilość, to coś, co się z góry przeciwstawia.

*

Niemcy, jak dalece sięgają, psują kulturę.

*

Niemcy splugawili historię. Jako pajace polityczni nie mogli dostrzec wielkich wartości kulturalnych Europy.

*

Niemcy mają na sumieniu wszystkich zbrodniarzy kultury i to z czterech wieków. Niemcy zrozumieli, że trzeba znaleźć prawo do kłamstwa.

*

Podwójny rząd doświadczeń, ta dostępność do rzekomo podzielonych światów, powtarza się w mojej naturze pod każdym względem. Jestem sobowtórem, mam drugie oblicze oprócz pierwszego, a może i trzecie . . . Nie kosztuje mnie specjalnego wysiłku być „dobrym Europejczykiem". Z drugiej strony może jestem więcej niemieckim od obecnych Niemców, ja, jako ostatni antypolityczny Niemiec.

*

„Niemiecki duch" jest moim złym powietrzem. U Niemca, mniej więcej tak samo jak u kobiety, nigdy natrafić nie można na dno: nie ma żadnego. I to wszystko. Ale przez to nie jest się nawet płaskim.

Wybrał i spolszczył
Izydor Plaszczek.

Krótkie spięcia

W obronie uciśnionych

Właściwie nikt nie ma w tym kierunku żadnych kompetencji, tzn. ani Rada Ochrony Przyrody, ani Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, ani ZAIKS, ani ktokolwiek inny — ale mimo to czas byłby już najwyższy wziąć w obronę góry przed tangami. Nie wiadomo bowiem, dlaczego rodzimy twórcy tych specyfików tanecznych uwzięli się na góry, a zwłaszcza na Tatry i uwziąwszy się, gnębią bez żadnej żenady ową piękną cząstkę naszej przyrody.

Gór nigdy Polska za wiele nie miała, a i teraz pomimo Sudetów i Karkonoszy w nie zbytnio nie obfituje, z jakiej więc racji ma się zezwalać na to, aby nad nimi ciągle ktoś się znęcał przy pomocy tang . . . ?

Tymczasem się zezwala i koniec.

Ponure te sprawy zaczęły się jeszcze przed wojną. Ktoś wymyślił „Góralskie Tango" i po dziś dzień ryczy się przy byle okazji: „Hej za górami, za lasami — górale tańczą z góralkami . . ." A z kim, do jasnej ciotki Anielki, mają tańczyć górale? Z Hotentotkami? Z Abisynkami? Z mieszkankami dorzecza Orinoko . . . ? A z kim mają na przykład tańczyć blondyni? A lingwiści? A psychotechnicy? A egzystencjaliści? A noszący spodnie w paski . . . ?

Nie szkodzi. Górale tańczą z góralkami i basta, a „Góralskie tango gdy zagrają . . .", to człowieka trafia jasny szlag (właściwie tak mimochodem, dlaczego szlag zawsze ma być jasny, a nigdy ciemny?).

Potem, czy pamięta kto tę noc w Zakopanem? Każdy pamięta. Każdy! Nie ma bowiem takiej godziny w ciągu doby i nie ma żadnej imprezy tanecznej lub nietanecznej, żeby mu nad uchem nie zagrano w wykonaniu orkiestry dętej, czy rżniętej, płyty gramofonowej, radia, fortepianu, lub drumli, względnie grzebienia, i żeby mu choćby nie zanucono sakramentalnego zapytania: „Czy pamiętasz tę w Zakopanem . . .?" Na dobitek złego bardzo wiele osób, stosując w barbarzyński sposób zasady nowej pisowni do Zakopanego, zapytuje: „Czy pamiętasz tę noc w Z a k o p a n y m . . . ?"

Pamiętam! Jak Boga kocham, pamiętam! Ale nie tylko ja pamiętam! Ty także pamiętasz! On i ona pamięta! My pamiętamy, wy pamiętacie, oni i one pamiętają! W ogóle wszyscy pamiętają, i nie ma o czym mówić.

Trzeba natomiast absolutnie domagać się, by o tej nocy w Zakopanem raz nareszcie zapomniano. Koniecznie trzeba. Dosyć już bowiem tego pamiętania! Doooosyć — i szlus!

Tak samo trzeba przestać pamiętać o „Pozdrowieniu od gór" (żeby to jeszcze było „z gór", ale to jest „o d gór"!). Jest to także takie tango, które wlazło w góry diabli wiedzą po co i tam obrzydza im życie. A góry są przecież takie biedne i nikomu nic nie zrobiły, więc za co to je spotyka . . . ?

Panowie kompozytorzy i libreciści od tang! Dajcie spokój górom, dajcie spokój Tatrom, dajcie spokój Beskidom, dajcie spokój Karkonoszom i wszystkim innym wzniesieniom ponad 400 m nad poziomem morza. Tango powstało w argentyńskiej pampie i do gór zupełnie nie pasuje. A zwłaszcza do naszych, które stworzyły swój własny, a zupełnie inny rytm i genre piosenkowy oraz taneczny. Przypinanie tang do tych gór, to jest to samo, co podawanie rolmopsów w rosole z kury, albo nadziewanie czekolady cebulą.

Tym bardziej, że to i tak nie są żadne prawdziwe tanga, lecz tylko utwory muzyczne, które owe argentyńskie melodie jedynie przypominają z bardzo daleka.

A więc, panowie, nie barbaryzujmy, bo góry krzyczą do tang:

— Won!

NIEJAKI X.

Tydzień Wrocławia

16. 11. — 23. 11.

ŻYCIE LITERACKIE:

17—19. 11. Odbywał się we Wrocławiu Walny Zjazd Związku Zawodowego Literatów Polskich. W pierwszym dniu Zjazdu referat wygłosił Zdzisław Hierowski pt. „Problemy kulturalne Ziem Odzyskanych", w drugim dniu Stefan Żółkiewski mówił o „Problemach współczesnej literatury polskiej" trzeci dzień zajęły sprawy organizacyjne i wybór nowych władz.

19. 11. Z okazji Walnego Zjazdu Z. Z. L. P. odbył się w Teatrze Lalki i Aktora wieczór poetycki, w którym udział wzięli: Flora Bieńkowska, Janina Brzostowska, Andrzej Frasik, Tadeusz Hołuj, Jarosław Iwaszkiewicz, Mieczysław Jastrun, Jerzy Kierst, Leopold Lewin, Wacław Mrozowski, Aleksander Rymkiewicz, Roman Sadowski, Wilhelm Szewczyk, Jan Sztaudynger, Stanisław Wygodzki, Tadeusz Zelenay.

20. 11. Odbył się 79 Czwartek literacki Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego. Był to wieczór autorski Mariana Promińskiego.

INNE WYDARZENIA:

16. 11. Nastąpiło we Wrocławiu otwarcie nowej radiostacji nadawczej o mocy 50 kw.

16. 11. Przyjazd Prezydenta RP. Bolesława Bieruta w związku z otwarciem radiostacji i Walnym Zjazdem Z. Z. L. P. Prezydent w sali restauracji „Klubowa" wygłosił przemówienie na temat zadań twórczości kulturalnej w chwili obecnej.

16. 11. Odbyła się w Aula Leopoldina uroczysta akademia z okazji rozpoczęcia Tygodnia Akademika. Część oficjalną wypełniły przemówienia: Rektora, Prof. dr Stanisława Kulczyńskiego i Dziekana Prof. dr Iwo Jaworskiego oraz przedstawicieli młodzieży akademickiej innych narodowości. Część artystyczną wypełniły wrocławskie zespoły akademickie.

16. 11. W auli Politechniki płk. Witold Urbanowicz dowódca Dywizjonu 303, wygłosił odczyt oparty na swoich wspomnieniach z czasów wojny.

21. 11. Odbyło się zebranie organizacyjne Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Jugosłowiańskiej z referatem min. Jana Grubeckiego na temat zadań Towarzystwa.

Tydzień Katowic

od 24. 11. do 30. 11. 1947.

ŻYCIE LITERACKIE:

24. 11. Klub Literacki przy Z. Z. L. P. zorganizował w sali Instytutu Śląskiego odczyt Zenona Wiktorczyka, p. t. Socjalizm Żeromskiego.

ŻYCIE MUZYCZNE:

25. 11. W teatrze im. Wyspiańskiego wykonano operę „Faust" Gounoda, w następującej obsadzie: N. Stokowacka, O. Szamborowska, T. Mazurkiewicz, W. Łuczyński, E. Kossowski (w partii Mefista), C. Kozak, P. Barski. Kapelmistrz J. Sillich, reżyser A. Popławski. Inscenizacja plastyczna i kostiumy według projektu St. Jareckiego, choreografia St. Miszczyk. W obrazie baletowym „Noc Walpurgii" primabalerina O. Glikówna, pierwszy tancerz W. Borkowski, solistka L. Sotomska i M. Mikuszewska, soliści T. Burke, A. Śnieżyński i B. Klapiński oraz cały zespół baletowy Opery.

27. 11. W Domu Kultury Zw. Zawod. przy ul. Francuskiej wystąpił instrumentalny Nonet Czeski z następującym programem: O. Zich — Chodska suita, W. Rudziński — Nonet, Beethoven — Septor Es-dur op. 20.

27. 11. Staraniem Tow. Przyjaźni Polsko - Czechosłowackiej w Katowicach, odbył się na sali Instytutu Śląskiego, Wieczór Czechosłowacki. W programie muzyka i pieśń czeska i słowacka. Wykonawcy: Irena Lewińska śpiew Irena Fałecka - Smyczyńska fortepian, Irena Kozłowska akompaniament.

29. 11. W sali Filharmonii przy ul. Sokolskiej 2, wystąpiła Ewa Bandrowska - Turska z udziałem orkiestry Państwowej Filharmonii pod dyrekcją W. Krzemińskiego. W programie: VII Symfonia Beethovena — koncert na sopran (I wyk.), Gliera oraz Uczeń Czarnoksiężnika, Dukasa.

INNE IMPREZY:

25. 11. Staraniem Wojew. Rady Kultury w Katowicach zorganizowano „Wieczór" poświęcony omówieniu „Miesiąca wymiany Kulturalnej Polsko - Radzieckiej". W programie zagajenie przewodniczącego W. R. K. dr. Romana Lutmana, prelekcja dyr. F. Petruczynika oraz w części artystycznej P. Szczegodzińska i Z. Pyzik, recytacje — E. Statkiewicz, skrzypce — S. Nadgryzowski fortepian.

TEATR:

30. 11. Na dużej scenie Teatru im. Wyspiańskiego odbyła się premiera sztuki Maksyma Gorkiego, p. t. „Jegor Bułyczew".